

adeste⁺

Pragnę, szukam, wierzę

NR 10 | LIPIEC 2018

ISSN2544-7424

Czy **Chrystus**
i Kościół

odbierają nam
wolność?



www.adeste.eu

Adres do korespondencji:
Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:
Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:
Anna Małgorzata Gawlik (z-ca redaktora naczelnego ds. organizacji i zarządzania), Krzysztof Działik (sekretarz redakcji)
Piotr Ulrich (sekretarz miesięcznika)
Michał Gójski, Dk. Mateusz Kopa, Kamil Mańka, Konrad Myszkowski, Michał Sadowski (szef działu kultura i społeczeństwo), Piotr Władysław Sudoł,
Współpracownicy:
Antonio Akmadża, Piotr Bogdanowicz, Wojciech Gałek, Nina Małgorzata Kogut, Szymon Kozieja, Marta Kozłowska, Piotr Krajski, Tomasz Kumiega, Mateusz Rezler, Bartłomiej Witeszczyk i inni

Grafik główny i skład gazety: Tomasz Łukasik – tomasz.lukasik@adeste.eu
Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub: Maciej Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu
Webmasterzy strony www.adeste.eu: Tomasz Leszczyński, Tomasz Łukasik - it@adeste.eu
Wsparcie serwerowe: Norbert Bryłka
Rysownik i art-designer: Marcin Kozłowski
Media consulting: Mateusz Nieścierowicz
Dział korekty:
Zuzanna Sokalska (koordynator korekty), Anna Gawlik, Anna Warzecha, Magdalena Węglarz, Anna Królak.
Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu,
Norbert Bryłka, Kamil Tokarski, Tomasz Łukasik, Tomasz Leszczyński, Marcin Kozłowski
Piotr Władysław Sudoł
Ponadto beta-testerzy i post-korekta oraz konsultacja teologiczna

A także każdy, kto modliwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDGI+

Wydawca: Bartłomiej Wojnarowski, Łapiguz 73, 22-400 Zamość, Lubelskie



Ilustracja: Zofia Bryłka

Spis treści

FELIETON

- Czy Chrystus i Kościół zabierają mi wolność?
Piotr Bogdanowicz 4

WIARA

- Błogosławiony Anastazy Pankiewicz - kapłan według Serca Bożego
Krzysztof Działlik 7

- Wolność życia duchowego
Piotr Władysław Sudół 11

- Pokój Boży
Piotr Krajski 16

- Czy chrześcijaństwo może zostać nazwane mitem?
Patryk Kępczyński 21

- Wolność - dar czy zguba?
Piotr Bogdanowicz 28

SPOŁECZEŃSTWO

- Dziecinada
Piotr P. Ulrich 30

- „Sznury mi padły na dział wspaniałą” – Opowieść o chrześcijańskich dziejach chorwackiego wybrzeża
Antonio Akmadža 35

KULTURA

- Jak żyć po chrześcijańsku? Recepta C.S. Lewisa cz. I
Tymoteusz Pyda 44

- Zapomniana trylogia
Wojciech Gałek 52



fol. Stuart Williams

“Ku wolności wyswobodził nas Chrystus. A zatem trwajcie w niej i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli”. (Gal 5,1)

Drodzy Czytelnicy i Sympatycy miesięcznika “Adeste”!

Dla wielu młodych ludzi rozpoczęły lub niedługo rozpoczną się wakacje. Czas odpoczynku od codziennych obowiązków i oddechu od zwykłego trybu życia. Pozostali, szczególnie pracujący, wybiorą się na urlopy. Będzie to także czas, by móc nabrać nowych sił duchowych i fizycznych. W środowisku młodzieży katolickiej lato jest czasem wspólnych rekolekcji, festiwali i spotkań. Dlatego w dziesiątym, wakacyjnym numerze miesięcznika “Adeste” poruszymy kwestię wolności, która dla chrześcijanina jest wolnością “do” i “ku” Chrystusowi, a nie wolnością “od” zaangażowania i czujności.

Wolność jest także darem i zadaniem. Rozumiana w sposób chrześcijański prowadzi do wyzwolenia, ale także duchowego kroczenia ku Chrystusowi. Szczególnie dziś widzimy, jak pojęcie chrześcijańskiej wolności rozmija się z tym, co proponuje nam nowoczesny świat. W najnowszym numerze nieco prowokacyjnie zapytamy, czy to może Kościół zabiera nam wolność, gdzie są granice naszej wolności i co jest prawdziwym zniewoleniem. Nie zabraknie w nim także artykułów dotyczących turystyki, rekomendacji pięknych miejsc pielgrzymkowych i wakacyjnych refleksji.

Liczę, że dziesiąty numer naszego miesięcznika będzie dla każdego z Was dobrą okazją do przemyślenia kwestii wolności i otwarcia na wolność, którą daje Chrystus.



Z modlitwą +

Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika *Adeste*



źródło: pixabay.com

Czy Chrystus i Kościół zabierają mi wolność?



Piotr Bogdanowicz

Nie ma chyba pośród nas osoby, która nigdy nie zapytałaby siebie o swoją wolność w Kościele, o to, czy jest wolna wierząc w Chrystusa. Doprawdy, nie ma w tym pytaniu i związanych z nim wątpliwościach nic złego. Wręcz przeciwnie, niepokojące byłoby, gdyby ktoś choć raz w życiu nie zadał takiego pytania.

Pytanie o wolność w tym, co robię w życiu, jest kluczowe. Nieważne, czy jest to decyzja dotycząca wyboru między chlebem a bułkami w sklepie albo między wierzyć bądź nie. Zawsze istnieje wybór, lecz wynikają z niego przeróżne konsekwencje. Wybór między chlebem i bułkami nie niesie

za sobą zazwyczaj ryzyka np. utraty życia, lecz ten między wiarą lub niewiarą już tak – utraty życia wiecznego.

Skąd pytanie o wolność?

Zanim przejdzie się jednak do poszukiwania odpowiedzi, warto spróbować dostrzec

przyczyny, źródła, z których narodziła się moja wątpliwość. Bywają one ukryte, wymagające pracy i namysłu, by je odkryć. Myślę jednak, że można wszystkim spróbować zebrać w trzech podstawowych punktach:

1. *wpływ świadta zewnętrznego;*

2. *brak zrozumienia tego, w co wierzę;*
3. *bałwochwalstwo.*

Wpływ świata zewnętrznego, a właściwie wpływ sposobu życia bliźnich, co do których wiemy, że nie jest im z Panem Bogiem po drodze, potrafi nieźle namieszać. Często widzimy ich pomyślność oraz „wolność” działania, ich radość i beztroskę. To powodzenie od dawna budzi w człowieku prawym oburzenie i wątpliwości. Nie był od tych uczuć wolny psalmista, który woła:

„Zazdrościłem bowiem niegodziwym widząc pomyślność grzeszników. Bo dla nich nie ma żadnych cierpień, ich ciało jest zdrowe, tłuste. Nie doznają ludzkich utrapień ani z [innymi] ludźmi nie cierpią. (...) Ich nieprawość pochodzi z nieczułości, złe zamysły nurtują ich serca. Szydzą i mówią złośliwie, butnie grożą uciskiem. Ustami swymi niebo napastują, język ich krąży po ziemi. (...)” (Ps 73,3-5.7-9).

To naturalne, że wobec takiego świadectwa tych, którzy żyją niesprawiedliwie, którzy

z Chrystusem mijają się wciąż gdzieś na ulicach, a kościół widzą od święconki, rodzą się pytania o sens mojej wierności:

*„Czy więc na próżno zachowałem czyste serce i w niewinności umywałem ręce?
Co dnia bowiem cierpię chłostę,
każdego ranka spotyka mnie kara.
Gdybym pomyślał: Będę mówił jak tamci,
to bym zdradził ród Twoich synów.
Rozmyślałem zatem, aby to zrozumieć,
lecz to wydało mi się uciążliwe,
póki nie wniknąłem w święte sprawy Boże,
nie przyjrzałem się końcowi tamtych” (Ps 73,13-17).*

Kolejną przyczyną jest brak zrozumienia tego, na czym tak naprawdę powinna opierać się moja wiara. Ten sam psalmista zawoła dalej: „Gdy się trapiło moje serce, a w nerkach odczuwałem ból dotkliwy, byłem nierozumny i nie pojmowałem” (Ps 73,21n.). Moja droga do świętości ma opierać się na relacji z Bogiem, na tym, że staram się budować swoje życie na linii „być”, a nie „mieć”. I to wcale nie jest takie proste jak się wydaje. Ci, którzy mają już za sobą do-

świadczenie pracy zarobkowej, wiedzą jak łatwo można wpaść w pracoholizm, w potrzebę posiadania, w której widzi się także wszelkie remedium na potrzeby rodziny. To jest dramat wielu rodzin.

Trzecim powodem wątpliwości, a w konsekwencji nawet utraty wolności, jest bałwochwalstwo: „Nikt nie może dwom panom służyć. Bo albo jednego będzie nienawidził, a drugiego będzie miłował; albo z jednym będzie trzymał, a drugim wzgardzi. Nie możecie służyć Bogu i mamonie” (Mt 6,24). Pod pojęciem mamony nie można dopatrywać się tylko pieniędzy. Mamoną może być wszystko, co skutecznie angażuje i odwraca wzrok człowieka od Boga (seks, pieniądze, władza, materializm, pobożność, informacja, Internet, etc.). Oddając się temu, człowiek naturalnie zaczyna wzbudzać w sobie wątpliwości co do słuszności wiernego trwania przy Chrystusie. Im dalej w to brnie, tym, paradoksalnie, bardziej tę wolność traci.

Kluczem jest miłość

Jak zatem rozumieć moją wolność w Chrystusie i Jego Kościele? Kluczem jak zawsze jest miłość. Jezus nie przyszedł na świat, aby nas zniewolić.



źródło: unsplash.com

Przeciwnie, Jego męka, śmierć i zmartwychwstanie wyzwoliły nas z niewoli grzechu oraz śmierci. Nie wyzwala nas to od prawdy, lecz pomaga nam ją zaakceptować, bo wolność to zależność od miłości. I choć brzmi to bardzo górnolotnie, to jednak ma swoje przełożenie na konkretne życie każdego człowieka. Szczęśliwy człowiek, który kocha i w tej miłości oddaje się

bie drugiemu. Tu przejawia się paradoks wolności, która jest zależnością. A wiara? Wiara i jej rozumność pomaga zachować właściwą relację do wszystkiego i wszystkich.

Dopiero w tej perspektywie przykazania Boże nabierają właściwego znaczenia. Jeśli Nowy Testament mówi o przykazaniach, to zawsze w kontekście

miłości. „Nikommu nie bądźcie nic dłużni poza wzajemną miłością. Kto bowiem miłuje bliźniego, wypełnił Prawo. Albowiem przykazania: Nie cudzołóż, nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj, i wszystkie inne - streszczają się w tym nakazie: Miłuj bliźniego swego jak siebie samego! Miłość nie wyrządza zła bliźniemu. Przeto miłość jest doskonałym wypełnieniem Prawa” (Rz 13,8-10). To dlatego św. Jan Apostoł będzie mógł napisać, że „przykazania Jego nie są ciężkie” (1J 5,3). Ale dostrzeże to tylko ten, kto pojął znaczenie miłości w swoim życiu, także w wierze, którą przeżywa

A Kościół? Kościół daje mapę oraz pomaga głębiej zrozumieć to, czego Chrystus naucza, pomaga przyjąć prawdę. Robi to od dwóch tysięcy lat pewny obecności w Nim Ducha Świętego. I choć moje relacje i doświadczenia z różnymi członkami tej wspólnoty mogą być nienajlepsze, to wciąż trzeba pamiętać, że jest On niesamowicie, w sposób naprawdę niepojmowalny różnorodny, więc nic nie stoi na przeszkodzie, bym szukał w Nim swojego miejsca gdzieś indziej. Nie musimy się wszyscy lubić. Ale sztuką jest, mimo że się nie lubimy, wciąż siebie nawzajem kochać.



Błogosławiony Anastazy Pankiewicz - kapłan według Serca Bożego^[1]

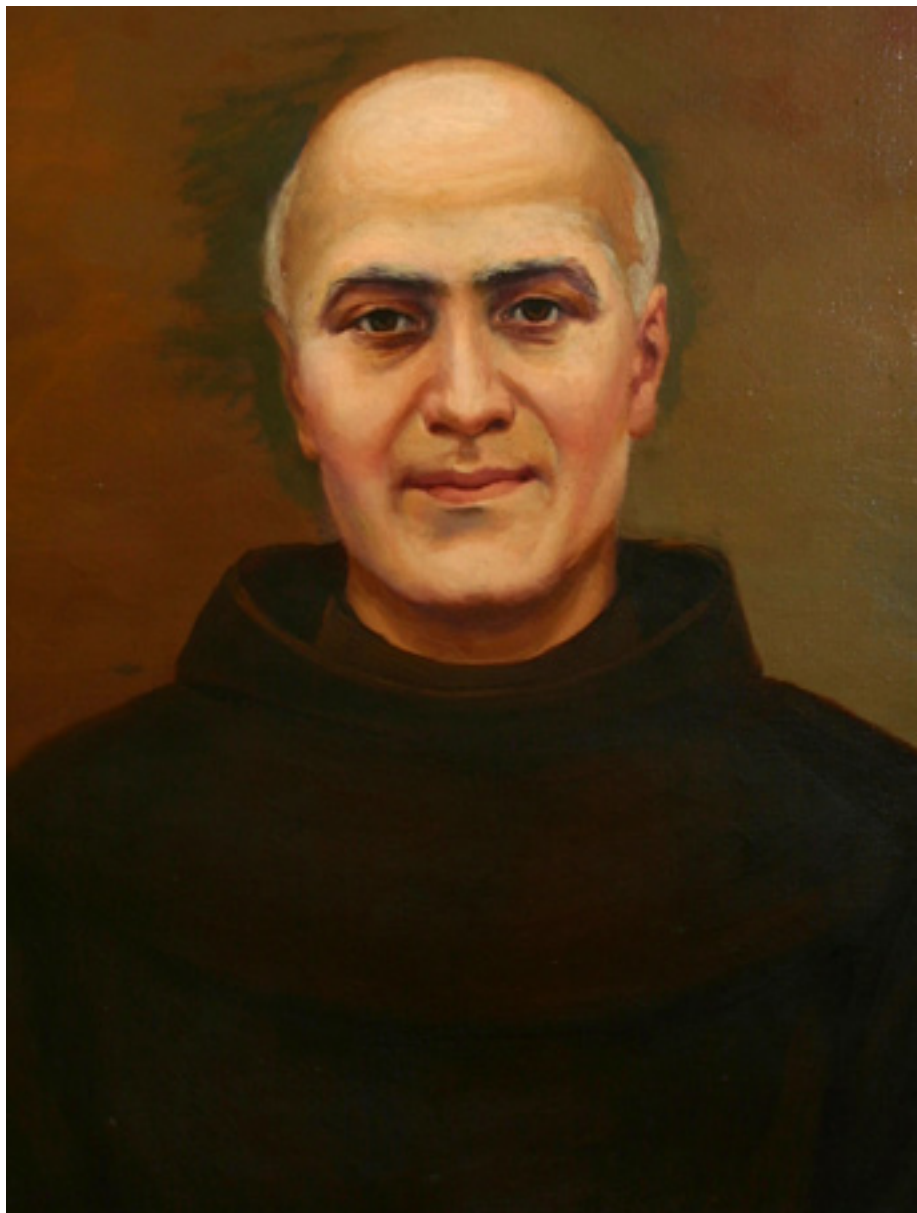


Krzysztof Działlik

Spowiednik, budowniczy, kaznodzieja, opiekun młodzieży, założyciel nowego zgromadzenia zakonnego. Jednym słowem człowiek renesansu. Poświęcił swoje życie młodzieży, a także służbie drugiemu człowiekowi. I był temu powołaniu wierny do samego końca.

Lata młodości i początki drogi zakonnej

Przyszły błogosławiony, syn Tomasza i Tekli, urodził się 9 lipca 1882 roku w Nagórzanach koło Sanoka w galicyjskiej wielodzietnej rodzinie chłopskiej. Na chrzcie świętym otrzymał imię Jakub. W wieku 17 lat wstąpił do zakonu bernardynów (oo. franciszkanie). W 1901 roku złożył swoją pierwszą profesję zakonną. Podczas formacji we franciszkańskim duchu i zakonie uzupełniał swoją wiedzę w gimnazjum w Przemyślu, studiował także filozofię w Krakowie oraz teologię we Lwowie. W lutym



Portret Błogosławionego w Domu Generalnym Sióstr Antonianek od Chrystusa Króla

źródło: Zbiory Zgromadzenia Sióstr Antonianek

1904 roku wieczyste ślubował życie w ubóstwie, czystości i posłuszeństwie, a 1 lipca 1906 r. został wyświęcony na kapłana.

Po święceniach o. Anastazy został wysłany do posługi jako spowiednik i kaznodzieja w klasztorze w Wieliczce, a ponad roku służby na wielickiej ziemi został posłany na kilka

miesiący do sanktuarium Matki Bożej Świętorodzinnej w Miedniewicach koło Żyrardowa. Miał pragnienie udania się jako misjonarz do Brazylii, jednak nic z tych planów nie wyszło, mimo akceptacji pomysłu przez jego przełożonych zakonnych. W styczniu 1908 roku o. Pankiewiczowi została powierzona funkcja magistra nowicjatu

[1] Tytuł pochodzi z wezwania z Litanii do bł. Anastazego Pankiewicza

w reformackim klasztorze we Włocławku, którą pełnił do 1911 roku. Następnie został skierowany do Krakowa jako kapelan sióstr bernardynek, a w roku 1914 został skierowany do Dżurkowa koło Kołomyi, gdzie powierzono mu rolę administratora parafii. Po wybuchu I wojny światowej został wojskowym kapelanem w stopniu kapitana. Gdy działania wojenne się zakończyły, powrócił do Krakowa, a w latach 1919-1930 pełnił funkcję gwardiana klasztoru św. Bernardyna ze Sieny w Krakowie, kierował pracami remontowymi w kościele, głosił kazania oraz wyjeżdżał na misje i rekolekcje do innych parafii.

Działalność w Łodzi i męczeństwo

W 1930 roku, za zgodą łódzkiego ordynariusza, bp. Wincen-tego Tymienieckiego, przyjechał do Łodzi, aby poświęcić się tutaj pracy dla młodzieży. Na ten cel zakupił na terenie łódzkich Do-łów obszar o powierzchni ośmiu hektarów. Planował tam wybudować mały kościół, który następnie miał być powiększany oraz budynek, który miał pomieścić w swoich murach klasztor i szkołę. Ponadto o. Pankiewicz planował na tym terenie wytyczyć dróżki i kapliczki oraz boiska i ogrody. Miał więc bardzo ambitne plany, chciał stworzyć



źródło: wikicommons

Kościół Stygmatów św. Franciszka z Asyżu i klasztor franciszkanów-reformatów, gdzie służył bł. Anastazy

dla łodzian miejsce na refleksję, modlitwę i relaks. W sierpniu 1937 roku ukończono budowę siedziby szkoły i klasztoru. Był to nowoczesny, trzypiętrowy budynek, skanalizowany i podłączony do centralnego ogrzewania. Sale lekcyjne i pracownie zostały wyposażone w nowoczesny sprzęt, sprowadzony z zagranicy. We wrześniu 1937 roku w bernardyńskiej szkole rozpoczęło naukę prawie 150 uczniów. Dzieło stworzone przez o. Anastazego otrzymało osobiste błogosławieństwo generała zakonu franciszkanów. Bernardyńską szkołę w Łodzi – jako jedną z przodujących w II RP – chwaliło także Ministerstwo Oświaty.

W latach 30. XX wieku o. Pankiewicz założył Zgromadzenie Sióstr Antonianek od

Chrystusa Króla, które zostało zatwierdzone przez władze kościelne w grudniu 1959 roku i obecnie zajmuje się działalnością charytatywną oraz obroną życia nienarodzonych dzieci. Zgromadzenie to działa prężnie. Mam nadzieję, że uda się mi kiedyś siostrom poświęcić osobny artykuł, bo niewątpliwie na to zasługują.

W grudniu 1939 r. bernardyńska szkoła została zamknięta przez niemieckiego okupanta. Ojciec Anastazy nie zdecydował się na zdjęcie habitu. Pragnął dalej posługiwać wobec mieszkańców Łodzi na tyle, ile było to możliwe. Zamieszkał w domu kierownika cmentarza na Dołach, w cmentarnej kaplicy odprawiał co niedzielę Mszę Św. dla wiernych. W kwietniu 1940 r. został aresztowany na kilka-

naście dni, a po wypuszczeniu na wolność, nie zważając na grożące mu niebezpieczeństwa, kontynuował pracę duszpasterską. Ponownie został aresztowany na początku października 1940 r. Wywieziono go wówczas do obozu przejściowego w Konstantynowie Łódzkim, a następnie do obozu koncentracyjnego w Dachau. Zdrowie blisko 60-letniego zakonnika znacznie podupadło w wyniku katorżniczej pracy fizycznej oraz małym porcjom żywieniowym. 18 maja

1942 roku o. Pankiewicz, numer obozowy 28176, został wpisany na listę więźniów starych i niezdolnych do pracy. Równało się to z wyrokiem śmierci. Dwa dni później, 20 maja 1942 r. transport specjalnie przystosowanym samochodem – komorą gazową z więźniami z listy miał udać się do Hartheim koło Linzu, gdzie mieli oni zostać uduśzeni spalinami. Jak podaje ks. Stefan Stępień, który również był więźniem obozu w Dachau, o. Anastazy chciał pomóc wsiąść

do auta jednemu ze współwięźniów, brutalnie popędzanych przez Niemców. Wówczas jeden z żołnierzy złośliwie i brutalnie zatrzasnął właz samochodu, obcinając o. Pankiewiczowi obie dłonie. Franciszkanin prawdopodobnie zmarł w drodze z powodu wykrwawienia się. Możliwe jednak, że przeżył drogę i został zagazowany spalinami w Hartheim koło Linzu. W dniu swojej śmierci o. Anastazy wyznał współwięźniowi: „Jestem spokojny i gotowy na śmierć”

Beatyfikacja i kult

Proces beatyfikacyjny o. Anastazego Pankiewicza rozpoczęto pod koniec maja 1994 roku, a w listopadzie 1998 roku podsumowano teologiczną dyskusję o męczeństwie 108. sług Bożych. Ojciec Anastazy Pankiewicz został beatyfikowany 13 czerwca 1999 roku w Warszawie przez Jana Pawła II w gronie 108. Męczenników II wojny światowej.

Razem ze 108. męczennikami II wojny światowej, bł. o. Anastazy jest czczony szczególnie w sanktuarium maryjnym w Kałkowie Godowie, dolnym kościele Bazyliki w Licheniu, we wrocławskim kościele oo. Franciszkanów oraz w kaplicy Muzeum Powstania Warszawskiego w Warszawie. Wezwanie



Kościół pw. św. Elżbiety Węgierskiej w Łodzi, który powstał dzięki bł. Anastazemu (fot. Łukszto)

źródło: fotopolska.eu



Źródło: Zbiory Zgromadzenia Sióstr Antonianek

Witraż w Nowotańcu

Błogosławionych 108. Męczenników noszą parafie w Powierciu (diecezja włocławska) i Malborku (diecezja elbląska).

Szczególnymi miejscami kultu oraz upamiętnienia postaci bł. Anastazego są: kościół oo. Bernardynów pw. św. Elżbiety Węgierskiej w Łodzi, gdzie znajduje się pamiątkowa tablica oraz ołtarz i obraz poświęcony błogosławionemu. Przed położo-

nym obok kościoła budynkiem, w którym znajduje się klasztor i szkoły bernardyńskie (noszące imię bł. o. Anastazego Pankiewicza) jest umiejscowiony pomnik błogosławionego. Siostry antonianki czczą swojego założyciela w kaplicy w Domu Generalnym w Łodzi, w której znajduje się przedstawiająca go płaskorzeźba. W kościele oo. Bernardynów pw. św. Bernardyna ze Sieny w Krakowie jest ołtarz i obraz

błogosławionego. Odprawia się tam cotygodniowe nabożeństwo do niego. Bł. Anastazy jest czczony również w swojej rodzinnej parafii – par. pw. św. Mikołaja w Nowotańcu, gdzie jego imię jest wymawiane codziennie w modlitwie eucharystycznej. Raz w miesiącu odprawiane jest także nabożeństwo ku jego czci. Ponadto, w kościele parafialnym są umieszczone witraże, przedstawiające błogosławionego.

Myślę, że bł. o. Anastazy – biorąc pod uwagę jego życiorys – może być patronem i orędownikiem wielu grup zawodowych i społecznych oraz w wielu sytuacjach. Zwracać szczególnie do niego mogą się: uczniowie, studenci, nauczyciele, żołnierze, osoby pracujące w budownictwie, pracownicy charytatywni etc. Warto zatem polecać się jego wstawiennictwu. Błogosławiony Anastazy, przykładem własnego życia przyświecający, módl się za nami!

Przy pisaniu artykułu korzystałem z książki s. Justyny Joanny Kałwy „Błogosławiony Anastazy Jakub Pankiewicz OFM (1882-1942) Życie dzieło kult”, wydanej w 2013 roku nakładem Archidiecezjalnego Wydawnictwa Łódzkiego



Wolność życia duchowego



Piotr Władysław Sudół

Kościół ogranicza ludzi. Ludzie w Bogu szukają ucieczki od problemów. Modlitwa to tak naprawdę dialog z samym sobą i urojenie. Dekalog się przedawnił. Moralność ma swoje granice. Religia chce kontrolować ludzi. Prawdziwa wolność jest poza Kościołem! Takie hasła brzmią znajomo, prawda? Zapewne każdy z nas miał szansę usłyszeć je przynajmniej raz. Czy życie duchowe składa się tylko z postów, umartwień i modlitw? Czy można je traktować jak kajdany nałożone na ludzką wolną wolę? Czego chce od nas Pan Jezus? Często spotykamy się z całkowitym niezrozumieniem sensu życia duchowego, które jest czymś znacznie więcej niż nasze instynkty i ziemskie potrzeby.

„Uczyńmy człowieka na nasz obraz” (Rdz 1,26)

Najdoskonalsze ze wszystkich stworzeń Stwórcy to człowiek. Powstał na samym końcu Boskiego dzieła Stworzenia.

Co świadczy o tym, że człowiek nosi w sobie obraz Boga?

Pierwszą fundamentalną rzeczą jest wolność człowieka. Został on obdarzony wolną wolą, raz na zawsze i nieodwołalnie.

Dlatego właśnie Bóg nie cofnął konsekwencji grzechu pierwszych rodziców. Człowiek ma wolną wolę, a jej używanie niesie za sobą konsekwencje. Bóg nigdy nie przymusza człowieka do miłości. Bóg zawsze przycho-

dzi pierwszy do człowieka i łagodnie pyta, jak niewidomego spod Jerycha „Co chcesz, abym ci uczynił?” (Mk 10,51). Nie da się wymusić miłości, gdyż miłość ma za podstawę wolną wolę, a nie instynkty, sympatię i chwilowe uczucia[1]. To działa w dwie strony – Boga nie da się przekupić naszymi modlitwami. Nie możemy myśleć w schemacie: „Ja ci dam Boże 500 zdrowasiek, a Ty mi pomóż”. W życiu duchowym nie ma miejsca na handel z Bogiem. Wolność wyboru odróżnia człowieka od zwierząt – człowiek potrafi odróżniać dobro i zło i świadomie między nimi wybierać.

Po drugie, człowiek podobnie jak Bóg potrafi tworzyć. Mam na myśli tutaj nie tylko wynalazki, które świadczą o gigantycznej łasce rozumu i kreatywności udzielonej człowiekowi, a które często niosą za sobą wiele dobra (np. maszyna parowa, prysznic, penicylina etc.). Różnica między tym, co jest tworzone przez człowieka a tym, co stworzył Bóg jest taka, że człowiek potrafi tworzyć lub wymyślić coś, co może zostać później wykorzystane nie tylko w dobrym, lecz również w złym celu. Przykładem jest tutaj np. postęp w dziedzinie fizyki ją-



źródło: pixabay.com

drowej czy chociażby dynamit Alfreda Nobla. Człowiek może poza tym brać udział w boskim dziele Stworzenia przez przekazywanie życia, gdyż wszelka miłość dąży do wcielenia. Dotyczy to nie tylko Syna Bożego, ale także naszej duchowości[2]. W małżeństwie na podobieństwo Boże stwarzane jest nowe życie. Rodzice dają dziecku ciało, a Bóg daje mu duszę.

Trzecia rzecz ważna dla naszego życia duchowego jest poniekąd powiązana z pierwszą, czyli wolną wolą. Człowiek nie

zamyka się na ogół w otaczającej go zewsząd materii. Człowiek dostrzega pewne wartości – miłość, odpowiedzialność, tolerancję, uczciwość itp. Często słyszymy, że ktoś zachowuje się „jak zwierzę”. Od człowieka zależy, czy zejdzie poniżej swojej godności, aby tylko zaspokajać swoje dzikie potrzeby i instynkty, czy też wzniesie się wyżej, do godności kogoś, kto został stworzony na obraz Boży. Człowiek został stworzony do czegoś więcej, niż tylko zaspokajanie swoich potrzeb materialnych. Bo często kon-

[1] Por. Fulton J. Sheen, Stworzeni do szczęścia, Esprit 2016, s.250-257.

[2] Por. Fulton J. Sheen, Warto żyć, Esprit 2017, s.72-75.

centrujemy się tylko na tym, co dotyczy nas, naszego ego: seksie, zysku, pysze, pragnieniu uznania[3]. To, co materialne, zawsze może zginąć, przepaść, a po naszej śmierci i tak nie będzie wiele warte. Człowiek jest ciągle nienasycony i człowieka może zaspokoić tylko nieskończoność. O tym pisał św. Augustyn w swoich Wyznaniach: „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”[4].

„Ku wolności wyswobodził nas Chrystus” (Ga 5,1)

Aby lepiej zrozumieć to zdanie z listu św. Pawła do Galatów przywołajmy najpierw kilka obrazów z mitologii. Zaczniemy od mitu o Orfeuszu i Eurydyce. Orfeusz, król śpiewak Tracji, młody, piękny, zakochał się w Eurydyce z wzajemnością. Jednakże Eurydykę pokochał również Aristajos, syn Apollina. Eurydyka uciekając przed nim została ukąszona przez żmiję i zginęła, trafiając do Hadesu. Do Hadesu zstępuje za nią Orfeusz, który swoją lutnią i śpiewem przeszedł straż Cerbera i ubłagał samego Hadesa o oddanie uko-



źródło: pixabay.com

chanej. Jednak wyprowadzając ją nie mógł się odwrócić. Gdy się jednak odwrócił, Eurydyki już nie było[5]. Z tego mitu wyłania się dość okrutny obraz jednego z bóstw, które czcili Grecy. Nie ma miejsca na wolną wolę człowieka, pojawia się natomiast bardzo bezwzględna umowa. Bóg grecki nie szanuje ludzkiej wolności i pragnienia szczęścia człowieka. Drugim przykładem jest wszystkim znany Syzyf, którego perypetie skrócimy właściwie do samego końca – za swoje

liczne przewinienia wobec bogów zostaje ukarany dożywotnią pracą, która tak właściwie nie ma sensu. W tym przypadku widzimy obraz bóstwa, które nie jest w żaden sposób miłosierne i nie zna takiej rzeczy jak wybaczenie. Życie Syzyfa na ziemi stało się całkowicie zdeterminowane przez bogów nie pozostawiając miejsca dla jego woli[6]. W świecie greckich mitologii bóstwo swój wybór narzuca i praktycznie nigdy się nie poświęca, zawsze jest na piedestale.

[3] Por. tamże, s. 313-314.

[4] Św. Augustyn, dz.cyt., s. 27.

[5] Jan Parandowski, Mitologia, Puls 1992, s. 151-153.

[6] Tamże, s. 206-209.

W tym momencie przechodzimy płynnie w chrześcijaństwo. Tutaj obraz Boga, jaki odnajdujemy w Biblii czy pismach autorów chrześcijańskich jest diametralnie różny.

Obraz wolnego człowieka odnajdujemy w Starym Testamencie:

„Dusza nasza jak ptak się wyrwała z sidła ptaszników, sidło się porwało, a my jesteśmy wolni. Nasza pomoc jest w imieniu Pana, który stworzył niebo i ziemię” (Ps 124,7n.).

To Bóg przyniósł Izraelitom wyzwolenie. Najznamienitszym tego przykładem są wydarzenia Księgi Wyjścia, gdzie Naród Wybrany pod przewodnictwem Mojżesza ucieka z Egiptu[7]. Oprócz znaczenia dosłownego te wydarzenia posiadają (jak spora część Biblii) sens metaforyczny: Egipt jest symbolem niewoli, a człowieka wyzwolić może tylko Bóg. Ponadto widzimy, że wody morza się rozsunęły. Dzięki temu Żydzi mogli swobodnie przejść. Oprócz tego jest drugi sens. Co mogła symbolizować wielka otchłań wody dla Izraelitów? Zło. Mimo bycia już wyzwolonym i prowadzonym do Ziemi Obiecanej Naród Wybrany zatęsknił za Egiptem: „Wspominamy ryby,



źródło: pixabay.com

któreśmy darmo jedli w Egipcie, ogórki, melony, pory, cebulę i czosnek. Tymczasem tu ginie my, pozbawieni tego wszystkiego” (Lb 11,5n.). Tu ujawnia się przykra prawda o nas, ludziach.

Słodka niewola? Żydzi chcieli wrócić do Egiptu. Oto Bóg ich z niego wyprowadził, pragnąc jedynie ich dobra, którego także i oni pragnęli. A już poczuli tęsknotę za tym miej-

scem, w którym byli ciemnieni i byli niewolnikami! Naród Wybrany nie ufał do końca Bogu. Nie potrafili zrozumieć, że Bóg pragnie czegoś więcej dla nich niż to, co było w Egipcie. Podobnie i my – kiedy wychodzimy z niewoli grzechu często za nim tęsknimy, bo łatwiej, bo przyjemniej. Zapominamy, że Bóg zawsze pragnie prawdziwego dobra i ciągle zdarza nam się wpadać w pułapkę cielesności.

[7] Por. Wj 13, 17-22; Wj 14, 1-31.

Św. Augustyn doświadczył bycia więźniem cielesności i tak pisze: „Dlaczego więc schodzisz na manowce, dlaczego kroczysz za głosem ciała? Niech raczej ono się nawróci i za tobą idzie”[8]. Oraz: „Walczyły we mnie dwie wole, dawna i nowa, cielesna i duchowa, i w ich zażartym zmaganiu roztrwaniła się moja dusza”[9]. Św. Augustyn już w IV wieku wiedział, że niewolnictwo pożądania cielesnego i ludzkiego „ja chcę” prowadzi donikąd. Po 1600 latach to się nie zmieniło – nie wiem, czy można znaleźć gdzieś osobę, która po wyjściu z nałogu na tle seksualnym, nałogu narkotykowego czy alkoholowego mogłaby określić siebie, kiedy była w nałogu, jako osobę wolną. Przyjemność nałogu nie powoduje, że niewola przestaje być niewolą. Może być przemijająco słodka, ale dalej jest niewolą, przez którą człowiek cierpi. Św. Augustyn sam pisze: „Jakże błogie stało się nagle dla mnie – być wolnym od głupich przyjemności! Porzucenie tego, co przedtem lękałem się utracić, już samo w sobie było radością!”[10]. Wolność woli człowieka jest jego największym błogostawieństwem

i największym przekleństwem. Może albo powiedzieć „tak” Bogu jak święci, albo stać się niewolnikiem własnych żądz. Św. Jan od Krzyża opisał w jaki sposób pożądania mają negatywny wpływ: „Dusza moja rozprężona jest w swoich władzach. W takim bowiem stanie ani rozum nie jest podatny na przyjęcie światła słonecznego, ani wola nie jest zdolna przyjąć w siebie Boga w czystej miłości, tak jak zwierciadło zastonięte nie odbija twarzy patrzącego; ani tym bardziej pamięć zastonięta mrokami pożądania nie daje się przeniknąć blaskiem obrazu Bożego, tak jak woda zamacona nie może jasno odzwierciedlić twarzy tego, kto w nią patrzy”[11]. Kajdany, które człowiek sam często nakłada swojej duszy uniemożliwiają mu dokładne poznanie Boga, a tym samym mocno zagrażają wierze, która jest przecież oparta na wolnej woli.

„Co chcesz. abym Ci uczynił?” (Mk 10,51) Zdanie z Ewangelii św. Marka ukazuje Boga jako Tego, który pragnie zbudować z człowiekiem relację opartą na miłości i wolności. Jezus

nie jest natarczywy ani nadgorliwy. Nie narzuca swojego zdania. Pyta łagodnie, czego człowiek chce. To pytanie, nad którym powinniśmy się również i my zastanowić. Bo często gonimy za pieniędzmi, zaszczytami, uznaniem ludzkim, tym samym stając się niewolnikami. Niewolnikami własnych żądz i pychy, która nigdy nie zostanie nasycona ani nie zapewni nam szczęścia. Św. Jan od Krzyża pisze: „Wszelka władza i wolność świata w porównaniu do wolności i potęgi ducha Bożego jest służalstwem, uciskiem i niewolnictwem”[12]. Pytanie Chrystusa jest aktualne zawsze, wszędzie i wobec każdego człowieka. Czy jest coś, czego jestem niewolnikiem? Jakiś grzech? Jakaś osoba? O co tak naprawdę proszę Chrystusa? Czy dążę do Boga, czy też skupiam całą uwagę na życiu doczesnym? „Prawda was wyzwoli” (J 8,32), czytamy w Ewangelii św. Jana. Prawdę poznaje się w pokorze. Jeżeli będziemy pokorni, odkryjemy prawdę. O sobie, o drugim człowieku i o Bogu. Wolność prawdziwa to wolność od zła i kłamstwa.



[8] Św. Augustyn, dz.cyt., s.106.

[9] Tamże, s.220.

[10] Tamże, s.243.

[11] Św. Jan od Krzyża, Droga na Górę Karmel, Wydawnictwo Karmelitów Bosych 2013, str. 68.

[12] Tamże, str. 52.

Pokój Boży



Piotr Krajski

Z czym kojarzy nam się pokój? Czy to tylko brak przemocy i unikanie konfliktów? Czy gwarantują go umowy międzynarodowe? A może źródła należy szukać na innych kartach o wiele starszej Księgi?

Dwa rodzaje pokoju

Pojęcie pokoju Bożego wielu kojarzy się ze... sportem. Jeszcze w czasach starożytnych Grecy używali pojęcia „ekechejria” (dosł. wyciągnięcie ręki) na określenie rozejmu ogłaszanego na czas igrzysk olimpijskich. Wiązało się to z nieprowadzeniem działań wojennych w tym czasie. Wypadki naruszenie tej zasady zdarzać miały się sporadycznie^[1].

W średniowieczu na Synodzie w Elne dokładnie sprecyzowano czas trwania „Pax et Treuga Dei” (Pokój i rozejm Boży) na czas trwania Wielkiego Tygodnia. Podczas innych synodów został on rozszerzony o inne ważne święta i wigilie świąt czy okres trwania Wielkiego Postu. Ci, którzy go naruszyli, podlegali ekskomunie.^[2]



źródło:unsplash.com

Rodzaj takiego pokoju, choć zatrzymywał na chwilę krwawe konflikty, oznaczał z założenia przejściowość, stan wyjątkowy. Był unormowany i dokładnie obwarowany zasadami, których wierni lub wcześniej uczestnicy olimpiady byli zobowiązani przestrzegać niezależnie od własnego przekonania. Zapewne dobrze musieli zdawać sobie także sprawę, że taki pokój nie trwa wiecznie.

Dzisiaj pojęcie pokoju w pierwszej kolejności kojarzy nam się z zaprzestaniem działań wojennych. Wyraźne apele niektórych światowych polityków sugerują, że trwały pokój należy do ich priorytetów. Podczas modlitwy powszechnej w kościele czy poprzez apele i modlitwy papieża wierni często modlą się o pokój w danym regionie świata. Często chodzi o pokój polityczny, o zaprze-

[1] <http://www.olimpijski.pl/pl/134,starozytne-idee.html>

[2] <https://www.gosc.pl/doc/789984.Treuga-Dei-Pokoj-Bozy>

stanie konfliktów pomiędzy zwaśnionymi stronami czy państwami, by ocalić cywilów i nie prowadzić do dalszych zniszczeń.

Jest jednak także inny rodzaj pokoju, który możemy wyczytać z kart Pisma Świętego. Święty Paweł w Liście do Filipian mówi o działaniach, które prowadzą do pokoju Bożego: radość, wyrozumiałość, łagodność, która powinna być „znana wszystkim ludziom”, nie troskanie się, lecz w każdej sytuacji przedstawianie „prośb Bogu w modlitwie i błaganiu z dziękczynieniem” (Flp 4,4-9).

Następnie podkreśla: „umiem cierpieć biedę, umiem i obfitować. Do wszystkich w ogóle warunków jestem zaprawiony: i być sytym, i głód cierpieć, obfitować i doznawać niedostatku. Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia” (Flp 4,2-13), a także: „nauczyłem się wystarczać sobie w warunkach, w jakich jestem” (Flp 4,11).

Święty Paweł zdaje się wskazywać na stan wewnętrzny człowieka i choć następnie mówi o zewnętrznych warunkach jak głód i niedostatek, to w części pierwszej mówi o stanie ducha: radości, łagodności, braku troskania się. To bycie nieskorym do gniewu i złości, pokój wewnętrzny, który udzie-

lać powinien się na zewnątrz: „niech wasza łagodność będzie znana wszystkim ludziom”. Równie istotna jest także pewność łaski, która daje siły i możliwości działania od Pana: „wszystko mogę w tym, który mnie umacnia”. Z tego faktu płynie także nadzieja dla wiernych. W Liście do Efezjan możemy zaś wyczytać opis Chrystusa: „On bowiem jest naszym pokojem, on który obie części [ludzkości] uczynił jednością, bo zburzył rozdzielający go mur - wrogość (...) aby z dwóch [rodzajów ludzi] stworzyć w sobie jednego nowego człowieka, wprowadzając pokój i [w ten sposób] jednych, jak i drugich znów pojednać z Bogiem, w jednym Ciele przez krzyż, w sobie zadawszy śmierć wrogości” (Ef 2,14-16). Pokój ukazany zostaje więc jako brak wrogości i podziałów, jako stan jedności i wspólnoty w Bogu.

Także w księgach Starego Testamentu możemy dostrzec opisy Boga, jako „księcia Pokoju” (Iz 9,5). Ale także w samej liturgii Mszy świętej przekazujemy sobie „pokój Pański” i wypowiadamy: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, obdarz nas pokojem”, na końcu zaś słysząc od kapłana „Idźcie w pokoju Chrystusa”. To w końcu także jedno z ośmiu błogostawieństw: „Błogostawieni, którzy wprowadzają

pokój, albowiem oni będą nazywani synami Bożymi” (Mt 5,9).

Pokój niemożliwy?

W jakimś sensie pokój Boży towarzyszyć ma nam na każdym kroku naszego życia duchowego. Ma być efektem działania łaski i trwaniem w jedności z Bogiem, przywracany także przez sakrament spowiedzi, jako „pojednanie z całym stworzeniem” (św. Jan Paweł II, *Reconcillatio et Paenitentia*).

A jednak czasem można mieć wrażenie, że wewnętrzny pokój wydaje się dla nas trudny do osiągnięcia, tak jakby jego osiągnięcie wydawało się równie niemożliwe jak pokój światowy. Warto jednak dostrzec, że gdy zewnętrzna forma pokoju jest od nas raczej niezależna (bo powiązana z polityką, gospodarką, działaniami grup ludzi, na które nie mamy wpływu), od nas zależy nasz pokój wewnętrzny, który oddziałuje chociaż na nasze środowisko – na ludzi, których spotykamy oraz pozwala nam pełniej i lepiej rozwijać się duchowo.

Warto spojrzeć jak ten temat przewija się czasem w świecie filmowym. W serialu *Detektyw* pojawia się rozmowa dwójki policjantów, gdzie jeden z nich przyjmując w jakimś stop-



źródło: unsplash.com

niu nihilistyczne podejście do świata, uznaje, że nie mógłby przyjąć religii, w której wszystkie jego postępowania są uwarunkowane obietnicą nagrody. Tą obietnicą ma być zbawienie i osiągnięcie raju. W jakimś sensie to spostrzeżenie bohatera sugeruje też pewien rodzaj oskarżenia wobec postępowania niektórych wiernych: postępowanie zgodne z nauką nie w wyniku wolnej woli i szczerego pragnienia czynienia dobra, ale w pogoni za własną korzyścią. Taki sposób myślenia może także oprócz fałszywości intencji, prowadzić do innej kwestii, na pierwszy rzut oka wydającej się tu odwrotnością: ciągłej obawy o to, czy zasługuje się na zba-

wienie. Skrupulatność w wyznawaniu grzechów i zamartwianie się swoją niedoskonałością powoduje ciągły niepokój i poczucie, że wszystkie starania są niewystarczające. Taki rodzaj mentalności sprawia, że rozważa się wielokrotnie każdy uczynek i przewinienie, czyniąc ze swojej wiary matematykę, tracąc przy tym wewnętrzny pokój i zdolność do utrzymania w sobie naturalnego usposobienia duszy, w której dobro rodzi się jako potrzeba, a nie przymus.

W filmie *Zbawienie* Iwana Wyrupajewa pojawia się rozmowa między siostrą zakonną a kobietą szukającą duchowego oczyszczenia w Tybecie. Kobie-

ta nie może zrozumieć, dlaczego ciągle człowiek wchłania w siebie złe emocje i błędy niczym odkurzacz. Ciągłe musi wracać na nowo, uzyskiwać równowagę, ratować się obecnością wśród buddyjskich mnichów. Siostra zakonna tłumaczy to spokojnie faktem grzechu pierwородnego. Nie staje się ono w tym kontekście usprawiedliwieniem, a raczej dostrzeżeniem, że pokój w człowieku rodzi się wtedy, gdy w jakimś sensie akceptuje własną niewystarczalność i słabość, pojmując, że nigdy raz na zawsze nie wyzbyje się wszystkich błędów. Musi ciągle prostować własne postępowanie w oparciu o łaskę Boga, co jest długotrwałym procesem.

Ksiądz Piotr Pawlukiewicz podczas jednego ze swoich kazań przytoczył swoją rozmowę ze starszym księdzem, gdy jeszcze uczył się w seminarium. Zapytał go, dlaczego człowiek musi się ciągle spowiadać, czy nie wystarczyłoby raz. Usłyszał w odpowiedzi: „A dlaczego myjesz skarpetki? Żeby nie zaczęły śmierdzieć”. Jest w tym wspomnieniu pewna zgodność ze spokojem filmowej siostry. Świadomość słabości wpisana w ludzkie doświadczenie, które ciągle na nowo trzeba przemieniać, by zbliżyć się do Boga.

Niezwykłą opowieścią w tym kontekście staje się film o znamienym tytule *Wszystko stracone*. To niemal w pełni niema historia o człowieku starającym się przetrwać na środku oceanu (w tej roli Robert Redford). Jako widzowie stajemy się świadkami samotnej walki człowieka ze wszystkimi przeciwnościami natury, który nie poddaje się wpływowi porażek, ciągle szukając ocalenia. Choć historię wyreżyserowaną przez J.C. Chandora można odczytać dosłownie jako opowieść o sile woli i pragnieniu przetrwania człowieka, to zakończenie sugeruje także perspektywę duchową.

W Biblii morskie głębiny stanowiły m.in. symbolicz-

ną przestrzeń działania złego ducha, tak samo jak pustynia. Miejsce śmiertelnego zagrożenia dla życia człowieka, nie tylko w sensie cielesnym. Głębiny oceanu w których zatracają się dusze. Jednocześnie w pieśni Jonasza możemy usłyszeć: „W utrapieniu moim wołałem do Pana, a On mi odpowiedział. Z głębokości Szeolu wzywałem pomocy, a Ty usłyszałeś mój głos. Rzuciłeś mnie na głębię, we wnętrzu morza, i nurt mnie ogarnął. Wszystkie Twe morskie bałwany i fale Twoje przeszły nade mną (...). Wody objęły mnie zewsząd, aż po gardło, ocean mnie otoczył, sitowie okoliło mi głowę. Do posad gór zstąpiłem, zawory ziemi zostały poza mną na zawsze. Ale Ty wyprowadziłeś życie moje z przepaści, Panie, mój Boże!” (Jon 2,2-7).

Głębiny morskie stają się tu jednocześnie zagrożeniem, ale i okazaniem działania mocy Bożej, która ratuje człowieka w najbardziej niebezpiecznej i beznadziejnej sytuacji. Niezwykły spokój bohatera filmu (choć zdarza mu się także moment załamania) walczącego z niszczącym żywiołem jest trudny do zrozumienia bez wiary w wybawienie. Patrząc w ten sposób na *Wszystko stracone*, historia zwykłego żeglarza staje się obrazem ludzkiego zmagania z przeciwnościami rozpiętymi

na całe życie, które jest ciągłym zmaganiem, by nie utonąć i nie utracić wiary i nadziei w interwencyjne działanie Boga. Pokój ten jest więc rodzajem przekonania wyznawanego przez św. Pawła: „wszystko mogę w tym który mnie umacnia”.

Wojna w raju

W najmniej oczywisty sposób prezentuje zagadnienie pokoju film w reżyserii Terenca Mallicka. Cienka czerwona linia opowiada o walkach o japońską wyspę Guadalcanal w czasie II wojny światowej. Na wojnę spoglądamy oczami amerykańskich żołnierzy, którzy często nie mogą zrozumieć ogromu cierpienia i zniszczenia. Z obrazem wyniszczającej wojny kontrastuje sama wyspa. Przywodzi na myśl rajską, nieskażoną enklawę, w której natura nie ulega zmianom, a człowiek żyje na niej w ten sam sposób od początku stworzenia świata. To, co pokazuje nam Mallick, to właściwie dwa zderzające się ze sobą skrajne rzeczywistości: raj i wojna. W świecie piękna, w której dokonują się jednocześnie akty okrucieństwa i zniszczenia.

Cienka czerwona linia ukazuje wojnę na dwóch poziomach – światowego konfliktu, podczas którego giną żołnierze po obu stronach barykad, ale także

poczucie utraconego wewnętrznego dobra i pokoju ducha, który ginie w czasie wojny.

Wśród wielu refleksji bohaterów możemy usłyszeć: „Byliśmy jedną rodziną, ale przyszło nam się rozstać, a teraz powstaliśmy przeciw sobie, jeden zastania drugiemu światło. Jak utraciliśmy dobro, którym nas obdarowano? Pozwoliliśmy mu umknąć, roztrwoniliśmy bez trosko. Co nas powstrzymuje przed tym, by sięgnąć, dotknąć chwały?”. Mallick w jakimś sensie prezentuje pełen zachwyty dla świata i stworzenia z jednocześnie bolesną bezradnością wobec wyjaśnienia, skąd wzięto się cierpienie, zło i zniszczenie. Pytania, które padają, są trudne, a reżyser nie stara się podać jednoznacznej odpowiedzi na wątpliwości, które przygniatają jego bohaterów, a jednak dopuszcza do głosu myśl bohatera, który pomimo całego zawartego w nim cierpienia daje nadzieję: „Pamiętam, jak umierała mama. Miała skurczoną poszarzałą twarz. Spytałem ją, czy się boi. Potrzęsła przecząco głową. Bałem się dotknąć śmierci, którą w niej widziałem. Nie było nic pięknego ani budującego w tym, że wracała do Boga. Ludzie mówią o nieśmiertelności, ale ja jej nie widziałem. Zastana-



źródło: unsplash.com

wiam się, jak ja sam będę umierał. Jakie to uczucie wiedzieć, że to już ostatni oddech. Mam nadzieję, że przyjmę to tak jak ona – z takim samym spokojem, bo właśnie tam kryje się nieśmiertelność, którą widziałem”. hermes-rivera-265372-unsplash

Spokój i pewność w Bogu w każdym możliwym momencie wydaje się rzeczą niezwykle trudną do osiągnięcia tak jak świętość, która zdaje się dla nas być odległym ideałem, ale jak zauważa o. Max Huot de Longchamp: „Największą świętość osiągną nie ci, co spełniają najmniej grzechów,

ale ci, co mają więcej odwagi, ofiarności i miłości, ci, co podejmują większe wysiłki względem samych siebie i nie obawiają się, że się potkną, a nawet upadną i nieco się pobrudzą – byleby tylko iść do przodu”.^[3]

Zdaje się więc, że pokój wewnętrzny nie polega na wyeliminowaniu z naszego życia tego, co niepokoi i wzbudza w nas lęk. To raczej umiejętność bycia ponad tym w Bogu, nie poddając się „wnętrzu morza” i „głębokości Szeolu”, uzyskując z czasem odpowiedź na swoje utrapienie.



[3] M. Huot De Longchamp, Spowiedź w szkole świętych, s.114-115.



źródło: unsplash.com

Czy chrześcijaństwo może zostać nazwane mitem?



Patryk Kępczyński

Wydarzenia szczególne opisane przez ewangelistów, np. cuda, zmartwychwstanie, boskość Jezusa pozwalają niektórym sądzić, że chrześcijaństwo to mit, kłamstwo, bajka. Niektórzy uważają, że sam Chrystus był bajką lub że był prawdziwym człowiekiem, ale zapewne Jego postać ubarwiono na tyle, że z pewnością Ewangelie wykrzywiają Jego obraz i nie jesteśmy w stanie poznać sylwetki człowieka zwanego Jezusem, syna Józefa i Maryi. Według oskarżycieli ani nie był Bogiem, ani nie zmartwychwstał, ani nie czynił cudów, ani nie głosił tego, co przytaczają ewangeliści.

Poruszony tymi oskarżeniami i zachęcony słowami: „Pana zaś Chrystusa miejcie w sercach za Świętego i bądźcie zawsze gotowi do obrony wobec każdego, kto domaga się od was uzasadnienia tej nadziei, która w was jest” (1 P 3,15) zadałem sobie trud zbadania sprawy ni-

czym Żydzi w Berei, którzy „(...) codziennie badali Pisma, czy istotnie tak jest” (Dz 17,11).

Mit

W drugiej połowie XIX wieku w językach europejskich słowo mit zostało utożsamio-

ne z czymś fałszywym, zmyślnym. Słowo to jednak, z punktu widzenia nauki o micie – czyli mitologii – jest stosowane niepoprawnie. Mit należy kojarzyć z pewną opowieścią, wyrażeniem historii w sposób literacki. W tym artykule jednak będę używał słowa mit w rozumieniu

współczesnym, nie przejmując się jego poprawnością[1].

Jaka jest charakterystyka mitu i czy możemy nazwać Ewangelię mitem?

Charakterystyka mitu:

„Otóż mit:

- odnosi się do jakichś odległych, ściśle niesprecyzowanych czasów (można tu porównać np. mity greckie);
- charakteryzuje się długim na ogół procesem powstawania; niekiedy trzeba aż kilku pokoleń, żeby mit się ostatecznie uformował;
- przedstawia swego bohatera w sposób bardzo ogólny, a poszczególne relacje o tym bohaterze nierzadko są między sobą sprzeczne;
- mało się przejmuje prawdopodobieństwem historycznym”[2].

1. Już na pierwszy rzut oka widać, że mit zazwyczaj nie przywołuje wielu świadków, dokładnych miejsc, czasu, nazw miejscowości itd. Nie czyni tego, co Łukasz Ewangelista, towarzysz św. Pawła (to potwierdza św. Ireneusz żyjący w drugiej po-



źródło:unsplash.com

łowie II wieku; był bardzo ściśle powiązany z czasami apostołskimi – jego mistrz, św. Polikarp, był bezpośrednim uczniem św. Jana Apostoła), a mianowicie św. Łukasz przywołuje dokładne miejsca, świadków, mówi o dokładnym czasie, co widać w tych wersetach „Było to w piętnastym roku rządów Tyberiusza Cezara. Gdy Poncjusz Piłat był namiestnikiem Judei, Herod tetrarchą Galilei, brat jego Filip tetrarchą Iturei i kraju Trachonu, Lizaniasz tetrarchą Abileny; za najwyższych kapłanów Annasza i Kajfasza skierowane zostało

słowo Boże do Jana, syna Zachariasza, na pustyni” (Łk 3,1-2).

2. Mit powstaje bardzo długo, żeby się uformował potrzeba wielu pokoleń, np. dzieła Homera powstały w oparciu o ustną tradycję, która składała się z wielu powiązanych ze sobą opowieści[3].

Ewangelię Mateusza, Marka, Łukasza powstały przed rokiem 70[4]. W porównaniu do innych dzieł pisanych Ewangelici spisałi relacje o Jezusie bardzo szybko. Skoro mity powstają

[1] Mit, wikipedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Mit#cite_note-CITEREFKlik201613-6 (dostęp: 16.04.2018).

[2] O. Jacek Salij, Prawdziwość Chrystianizmu - „Szukającym drogi”, http://www.nonpossumus.pl/biblioteka/jacek_salij/szukajacym_drogi/007.php (dostęp: 16.04.2018).

[3] Mitologia, wikipedia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Mitologia#cite_note-CITEREFHolmberg1998456-4 (dostęp: 16.04.2018).

[4] John A. T. Robinson, Redating the New Testament, 2000.

tak długo, to niemożliwe jest, by Ewangelisci, korzystając z relacji świadków, korzystali z mglistych opowieści. Z opowieści, które już dawno stały się legendami. Aby Ewangelie zdążyły przybrać formę literatury ludowej (legend, baśni, mitów i przypowieści) muszą dokonać się zmiany w przekazach ustnych. By się dokonały, musi minąć znacznie więcej czasu, niż minęło. Profesor Simone Kistemaker pisze: „Zwykle ukształtowanie się folkloru wśród prymitywnych ludów trwa wiele pokoleń; jest to stopniowy proces, rozłożony na wiele stuleci. Zgodnie ze sposobem myślenia formalistów, musielibyśmy dojść do wniosku, że relacje ewangeliczne zostały stworzone i zebrane w ciągu zaledwie jednego pokolenia. Według tego podejścia formowanie poszczególnych części Ewangelii należałoby rozumieć jako skrócony proces zachodzący w ostro przyspieszonym tempie”[5]. „Mity powstawały we wszystkich znanych nam społecznościach archaicznych i wczesnohistorycznych; były przekazywane z pokolenia na pokolenie[6]. „Mity przez bar-

dzio długi czas były przekazywane w formie ustnej”[7]. „(...) Antropolodzy transcendowali więc historyczne koncepcje mitu, przesuając jego obecność poza pierwsze utwory pisane. Definiując go z tej perspektywy, określili warunki, jakie muszą spełniać późniejsze formy, by mogły zostać zakwalifikowane jako mit”[8].

3. William F. Albright, amerykański archeolog, biblista, filolog, stwierdza: „Okres od dwudziestu do pięćdziesięciu lat jest zbyt krótki, aby doszło do jakichkolwiek dostrzegalnych zafałszowań pierwotnej treści, a nawet przekręcenia oryginalnych sformułowań użytych przez Jezusa”[9]. Co potwierdza słowa Pana Albright’a?

Przytoczmy chociażby relacje naocznych świadków II wojny światowej. Do dziś często mija nas chodząca historia – są to ludzie, którzy nadal mają w pamięci straszliwą wojnę. Ci ludzie dobrze pamiętają wszystko, ich relacje są spójne, nie są skłonni do kłamstw, wyolbrzymiania, do relacji niewiarygodnych.

Czy według teorii głoszącej, że zmyślono relację o zmartwychwstaniu, cudach – bo minęło x lat – relacje świadków II wojny światowej nie powinny dawno być zmyślone, niewiarygodne? Przecież tak nie jest i możemy to w każdej chwili zweryfikować. Oczywiście uczciwie należy przyznać, że ludzie są skłonni do zapominania szczegółów, czasem widzą z innej perspektywy sprawę (nie inaczej jest w Ewangelii), ale zawsze ogół faktów pozostaje dobrze zapamiętany. Chociaż ktoś zapomniałby szczegółów dotyczących Jezusa, to zapamiętałby ogół faktów, np. cuda, ukrzyżowanie, pusty grób, twierdzenie o zmartwychwstaniu, „wybuch” kultu Jezusa. Mija zbyt mało czasu, aby ogół został zapomniany, poddany zmyśleniu.

W naszej kulturze ciężko wyobrazić sobie zapamiętywanie chociażby słów, które padły wiele lat temu. Jednak inaczej było w kulturze żydowskiej. „W religii żydowskiej wśród uczniów istniał zwyczaj zapamiętywania nauki rabina. W książce »The Poetry of Our

[5] Simon Kistemaker, *The Gospels in Current Study*, Baker, Grand Rapids, MI, 1972, s. 48-49.

[6] Mit, encyklopedia PWN, <https://encyklopedia.pwn.pl/haslo/mit;3942101.html> (dostęp: 16.04.2018).

[7] Charakterystyka starożytnych mitów, <http://www.starozytnosc.com/mity-cechy.php>, dostęp: 16.04.2018.

[8] Czeremski, M., (2009), *Struktura mitów. W stronę metonimii*, Wyd. Nomos, Kraków, s. 28. Porównaj Charakterystyka mitu, https://www.km.com.pl/upload_pdf/Mit-Historia-Pamiec.pdf (dostęp: 16.04.2018).

[9] William F. Albright, *From the Stone Age to Christianity*, wyd. II, John Hopkins Press, Baltimore, 1946, s. 297-298.

Lord« C.F. Burneya można wy- czytać, że większość nauki Je- zusa była łatwiejsza do zapamiętania, ponieważ miała formę poezji aramejskiej»[10].

Profesor historii starożytnej Paul L. Maier pisze: „Argumenty, jakoby chrześcijaństwo tworzy- ło mit zmartwychwstania w cią- gu bardzo długiego czasu lub że źródła zostały spisane wiele lat po rzeczywistych wydarze- niach, są po prostu niezgodne z faktami»[11].

4. Naoczni świadkowie to zawsze dobre źródło wiedzy o danych wydarzeniach. Ewan- gelista Łukasz pisze: „Wielu już starało się ułożyć opowiadanie o zdarzeniach, które się doko- nały pośród nas, tak jak nam je przekazali ci, którzy od począt- ku byli naocznymi świadkami i sługami słowa. Postanowi- łem więc i ja zbadać dokładnie wszystko od pierwszych chwil i opisać ci po kolei, dostojny Teo- filu (...)» (Łk 1,1-3).

Łukasz wskazuje na to, że jego historia jest oparta na rela- cjach naocznych świadków. „(...) my nie możemy nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli» (Dz

4,20).

Apostoł Piotr pisze: „Nie za wymyślonymi bowiem mi- tami postępowaliśmy wtedy, gdy daliśmy wam poznać moc i przyjście Pana naszego Jezu- sa Chrystusa, ale [nauczaliśmy] jako naoczni świadkowie Jego wielkości» (2 P 1,16).

Jan z kolei pisze: „Oznajmia- my wam, cośmy ujrzeli i usły- szeli, abyście i wy mieli współ- uczestnictwo z nami (...)» (1 J 1,3). „Zaświadczył to ten, który widział, a świadectwo jego jest prawdziwe. On wie, że mówi prawdę, abyście i wy wierzyli» (J 19,35). „Im też po swojej męce dał wiele dowodów, że żyje: ukazywał się im przez czter- dzieści dni i mówił o królestwie Bożym» (Dz 1,3).

„Na podstawie zaledwie sze- ściu relacji naocznych świadków (Mateusza, Jana, Pawła, Piotra, Jakuba i Judy) profesor apolo- getyki Lynn Gardner stwierdził, że w porównaniu z dowodami zawartymi w innych dziełach literatury starożytnej „mamy dużo lepsze źródła wiedzy o Je- zusie z Nazaretu»[12].

Apostołowie musieli być

bardzo odważnymi ludźmi i pewnymi swego, gdy wobec domniemanych świadków życia Jezusa (ludzie w Jerozolimie) zazwyczaj używają stwierdzeń typu „widzieliśmy to”, „wy także o tym wiecie... Widzieliście to... Sami to wiecie».

Szczególnie można to do- strzec w poniższych fragmen- tach:

„Mężowie izraelscy, słuchaj- cie tego, co mówię: Jezusa Naza- rejczyka, Męża, którego posłan- nictwo Bóg potwierdził wam niezwykłymi czynami, cudami i znakami, jakich Bóg przez Nie- go dokonał wśród was, o czym sami wiecie (...)» (Dz 2,22).

„»Tracisz rozum, Pawle – zawołał głośno Festus, gdy on tak się bronił – wielka nauka doprowadza cię do utraty roz- sądku«. »Nie tracę rozumu, do- stojny Festusie – odpowiedział Paweł – lecz słowa, które mó- wię, są prawdziwe i przemy- ślane. Zna te sprawy król, do którego śmiało mówię. Jestem przekonany, że nic z nich nie jest mu obce. Nie działo się to bo- wiem w jakimś zapadłym kącie«» (Dz 26,24-26).

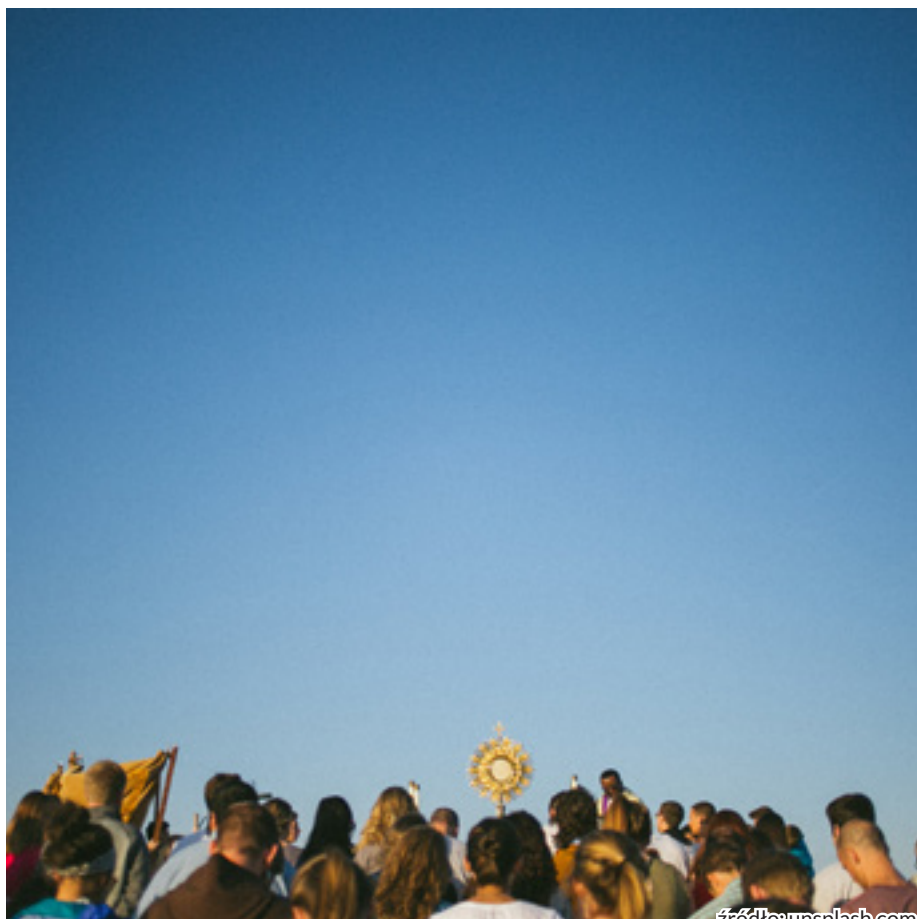
[10] A.H. McNeile, An Introduction to the Study of the New Testament, Oxford University Press, London, 1953, s. 54.

[11] Paul L. Maier, First Easter: The True and Unfamiliar Story in Words and Pictures, Harper & Row, New York, 1973, s. 122. Porównaj Josh i Sean McDowell, Więcej niż cieśla, Warszawa 2010.

[12] Lynn Gardner, Christianity Stands True, College Press, Joplin, MO, 1994, s.40. Porównaj Josh i Sean McDowell, Więcej niż cieśla, s. 74.

„Należy uważać, gdy mówimy oponentowi: »Sam to wiesz«, ponieważ jeśli nie mamy racji choćby w najmniejszym szczególe, od razu zostanie nam to wytknięte”[13].

Za czasów apostołów – wtedy, gdy głosili naukę Jezusa – żyło większość świadków. Badacze tacy jak: F.F. Bruce, Lawrence J. McGinley, David Hackett Fischer, Robert Grant podkreślają, że bardzo ważnym jest fakt, iż nauka apostolska była skierowana do naocznych świadków, którzy w razie głoszenia czegoś sprzecznego w ogólnym zarysie historii – jak i w szczegółowym – mogliby zakwestionować relacje. Nawet nie musieliby pisać żadnych apologii, wystarczyłoby zwykłe odejście od Apostołów. Jednak było bardzo wielu nawróconych tylko w samej Jerozolimie – mieście śmierci Jezusa. To tak, jakby bardzo znana postać mieszkająca w Krakowie po swojej śmierci została ogłoszona bogiem, na dodatek bogiem, który zmartwychwstał, ukazał się setkom ludzi i czynił cuda. Czy gdyby było to kłamstwo, ktoś w ogóle dałby temu wiarę? Gdyby byli tacy kłamcy, którzy głosiliby takie relacje, czy byliby za to w stanie oddać życie? Świadkowie bardzo szybko zweryfikowaliby tego typu



źródło:unsplash.com

wypowiedzi. I bezpodstawne jest twierdzenie, że kiedyś to było inaczej, ludzie byli „głupszy” i dawali wszystkiemu wiarę. Tak nie było.

Gdy Józef dowiedział się o brzemienności Maryi chciał ją oddalić, bo wiedział, skąd biorą się dzieci. Uczniowie przerażili się, gdy zobaczyli Jezusa chodzącego po wodzie, bo wiedzieli, że to niemożliwe. Również w tamtych czasach ludzie wiedzieli, że z martwych nie powstaje się – ciało gnije. Gdy Jezus, stojąc przed grobem Łazarza, rzekł:

„(...) »Usuńcie kamień!«. Sio-

stra zmarłego, Marta, rzekła do Niego: »Panie, już cuchnie. Leży bowiem od czterech dni w grobie« (J 11,39). Gdy przyszedł wskresić martwą dziewczynkę i rzekł: „ (...) »Usuńcie się, bo dziewczynka nie umarła, tylko śpi«. A oni wyśmiewali Go” (Mt 9,24). Gdy Jezus uzdrowił ślepeca ludzie byli zdziwieni: „Od wieków nie słyszano, aby ktoś otworzył oczy niewidomemu od urodzenia” (J 9,32).

Apostoł Tomasz, nazwany „niewiernym”, powiedział coś w stylu: „Słuchajcie, nie codziennie ktoś powstaje z martwych. Muszę mieć jakiś dowód”. Stwierdził stanowczo: „Jeżeli na

[13] Josh i Sean McDowell, Więcej niż cieśla, s. 75.

rękach Jego nie zobaczę śladu gwoździ, (...) i nie włożę ręki mojej do boku Jego, nie uwierzę” (J 20,25)[14].

Jak widać, ludzie wcale nie byli głupi, znali prawa natury. Wielu mi powie teraz: „Ale przecież są świadkowie mówiący, że widzieli UFO”. W to nie wątpię, że takie coś mogli widzieć, niekoniecznie muszą kłamać. Po pierwsze, takie relacje zazwyczaj dotyczą pojedynczych obserwatorów. W Ewangeliach mamy do czynienia z tłumami. Po drugie, relacje o UFO nie spotykają się z żadnymi prześladowaniami ze strony ludzi, władzy itp.

Co stałoby się z takimi relacjami, gdyby tak było? Co, gdyby takim ludziom przyłożono nóż do gardła i kazano się tego wyrzec? Który by tak uczynił, przekonałby się, jak niestałe są takie relacje. W przypadku Apostołów jest inaczej. Z „nożem na gardle” nie wyrzekają się głoszonych tez. Porównanie więc jest nieadekwatne, abstrahując od tego, że osoba przytaczająca takie porównanie z góry osądza, że UFO to zmyślona relacja, starając się powiedzieć: „Ludzie zmyślają, więc i apostołowie wszystko zmyślili”. Twierdzenie takie w świetle faktów jest zwy-



źródło:unsplash.com

czajnie pozbawione logiki.

To odpowiedź Pawła dla wszystkich sceptyków: „Jeszcze raz mówię: niech mnie nikt nie uważa za szaleńca (...). Są sługami Chrystusa? Zdobędę się na szaleństwo: Ja jeszcze bardziej! Bardziej przez trudy, bardziej przez więzienia; daleko bardziej przez chłosty, przez częste niebezpieczeństwa śmierci. Przez Żydów pięciokrotnie byłem bity po czterdzieści razy bez jednego. Trzy razy byłem sieczony różgami, raz kamienowany, trzykrotnie byłem rozbitkiem na morzu, przez dzień i noc przebywałem na głębinie morskiej. Często w podróżach, w nie-

bezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustkowiu, w niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci; w pracy i umęczeniu, często na czuwaniu, w głodzie i pragnieniu, w licznych postach, w zimnie i nagości, nie mówiąc już o mojej codziennej udręce płynącej z troski o wszystkie Kościoły. Któż odczuwa słabość, bym i ja nie czuł się słabym? Któż doznaje zgorzenia, żebym i ja nie płonął? Jeżeli już trzeba się

[14] Josh McDowell, Sprawa Zmartwychwstania, Oficyna Wydawnicza Vocatio, Warszawa 1996, s. 31.

chlubić, będę się chlubił z moich słabości. Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa, Ten, który jest błogosławiony na wieki, wie, że nie kłamię, W Damaszku namiestnik króla Are-tasa rozkazał pilnować miasta Damasceńczyków, chcąc mnie pojmać. Ale przez okno spuszczo mnie w koszu przez mur i tak uszedłem rąk jego” (2 Kor 11,16.1,23-32).

A na deser dodam dwóch przyjaciół i uczniów św. Jana, którzy potwierdzają wewnętrzną autentyczność Ewangelii. Historyk Euzebiusz zachował zapisy Papiasza, biskupa Hierapolis (zm. ok. 130 r. po Chr.):

„Starszy [Apostoł Jan] zwykł też mówić: »Marek, będąc tłumaczem Piotra, spisał dokładnie wszystko to, co on (św. Piotr) powiedział mu o słowach i czynach Chrystusa, choć nie w porządku chronologicznym. Nie był bowiem ani słuchaczem, ani towarzyszem Pana; ale, jak powiedziałem, potem towarzyszył Piotrowi, który adaptował swoje nauczanie tak jak wymagała tego konieczność, choć nie robił tego, tak jakby zamierzał przygotować zestaw wypowiedzi Pana. Marek nie popełnił żadnego błędu, jeśli w szczegółach tak

pisal, jak to się w jego (Piotra) przechowało pamięci. O jedno się tylko bowiem starał, o to, by nic nie opuścić z tego, co słyszał, oraz by nie napisać jakiej nieprawdy»[15].

Drugim z przyjaciół św. Jana był jeden z jego uczniów, Polikarp, biskup Smyrny, który przeżył osiemdziesiąt sześć lat w wierze chrześcijańskiej. Uczeń Polikarpa, Ireneusz (zm. ok. 180 r. po Chr.), późniejszy biskup Lyonu, opisał to, czego dowiedział się od Polikarpa (uczniwa św. Jana Apostoła):

„Mateusz rozpowszechnił swą Ewangelię wśród Hebrajczyków [tj. Żydów] w ich własnym języku, Piotr zaś i Paweł głosili Ewangelię w Rzymie i zakładali tam Kościół. Po ich odejściu [tj. śmierci, którą tradycja datuje na okres prześladowań za czasów Nerona – 64 r.] Marek, uczeń i tłumacz Piotra, sam przekazał nam na piśmie istotę nauki Piotra. Łukasz, uczeń Pawła, zawarł w księdze Ewangelię głoszoną przez swego nauczyciela. Później Jan, uczeń Pana, który też spoczywał na Jego piersi [mowa o tym w J 13,2 i 21,20], sam napisał swą Ewangelię, gdy mieszkał w Efezie w Azji”[16].

Wnioski z punktów 1-4

1. mit zazwyczaj nie przywołuje wielu świadków, dokładnych miejsc, czasu, nazw miejscowości, co czynią Ewangelisci;

2. mity powstają przez wiele pokoleń, trzy Ewangelie w ciągu jednego;

3. w kulturze żydowskiej łatwo zapamiętywano słowa nauczyciela, co więcej – dzięki temu na pewno lepiej zapamiętać ogół faktów dotyczących życia Jezusa, a nawet drobne szczegóły;

4. ewangelisci opierają swoje pisma na relacji naocznych świadków, czego absolutnie nie można powiedzieć o opowieści mitycznej.

Z punktów 1-4 wynika, że Ewangelie nie mogą być zakwalifikowane jako mit ani w rozumieniu opowieści mitologicznej, ani w rozumieniu jako coś fałszywego, zmyślonego.

Koniec części I. W kolejnym numerze Adeste na podstawie wyżej wymienionej argumentacji sformułuję ostateczną konkluzję, uwzględniając również II część tekstu,

[15] Euzebiusz z Cezarei, Historia kościelna, t. 3, rozdz. 39.

[16] Ireneusz z Lyonu, Przeciw herezjom, 3.1.1.

Wolność - dar czy zguba?



Piotr Bogdanowicz

Wbrew pozorom odpowiedź na to pytanie nie jest tak jednoznaczna i prosta. Uzależniona jest ona bowiem od tego, jak rozumiem wolność, czy i jak potrafię z niej korzystać na podstawie tego jak ją rozumiem, czy jestem otwarty na ciągłą jej naukę oraz czy w ogóle dojrzałem do tego, by świadomie nią żyć.

Wolność zaraz po miłości albo wraz z nią (wszak jedna bez drugiej istnieć nie może) to wartości i rzeczywistości, które chyba najtrudniej zrozumieć oraz nimi żyć. Widać to doskonale szczególnie w naszym społeczeństwie, tak bardzo podzielonym i skłóconym. Jednak ten nasz ogólnonarodowy podział jest tylko odzwierciedleniem rozłamu, jaki trwa w nas samych, braku pokoju, co w konsekwencji nie pozwala nam kochać i żyć w wolności wewnętrznej. Ceniśmy sobie wolność prasy i wypowiedzi, walczymy o wolność demokracji i decyzji, zmagamy się o wolność i równość płci i orientacji. Tak, to wszystko jest jakoś ważne, ale to nie jest nawet fundament wolności. O wiele istotniejsza jest wolność wewnętrzna, o którą mało kto dziś walczy,



źródło: pixabay.com

a która pozwala zachować niezależność nawet w obliczu zewnętrznego zniewolenia.

Człowiek jest wolny

Już w samym akcie stworzonym Bóg podarował człowiekowi wolność, która została nadużyta i użyta wbrew Stwórcy. Tu rozpoczęła się długa niewola grzechu, z której wyswobodził nas Chrystus (por. Ga 5,1). Co

nie znaczy, że nasze korzystanie z wolności od tego momentu jest pozbawione błędu. Wręcz przeciwnie. Skłonność do grzechu wciąż jest w nas obecna i zależnie od podejmowanej pracy duchowej nad sobą różnie na nas oddziałuje. Ale z całej tej streszczonej w kilku zdaniach historii naszego zbawienia nie można wyciągnąć wniosku, że wolność jest najważniejsza. Żadną miarą! Ona nigdy nie może być celem

samym w sobie. Bóg obdarzył nas wolnością, ponieważ bez niej nie moglibyśmy wejść z Nim w relację miłości. Zatem jest ona narzędziem i tak powinna być zawsze traktowana. Wolność to narzędzie pozwalające nam na wchodzenie w relacje oparte na autentycznej miłości zarówno z Bogiem, jak i między ludźmi (dlatego zawsze warto co jakiś czas zadawać sobie oraz tym, których kochamy, pytanie: czy czujesz się ze mną autentycznie wolny? Czy jestem w tej relacji wewnętrznie wolny?).

Wolność, która zostaje postawiona w miejsce celu, bardzo szybko staje się samowolą i jednocześnie pułapką, niewolą prowadzącą wprost ku śmierci duchowej. Myślę, że każdy z nas jest w stanie dostrzec jakiś przykład takiej indywidualistycznej wolności opartej na egoizmie i pysze, która nikogo nie chce słuchać i z nikim się nie liczy. Wielu młodych, dojrzewających ludzi przechodzi w swoim życiu właśnie taki etap, w którym każdą formę zastanego porządku społecznego uznają za rodzaj zniewolenia, któremu trzeba się przeciwstawić i z niego uwolnić.

Autentyczną wolność człowieka należy zawsze postrzegać przez pryzmat miłości, która

sprawia, że wzrastamy, dojrzewamy w naszym człowieczeństwie. Dlatego każde przeżywanie wolności jako narzędzia winno być skierowane na szukanie prawdziwego dobra dla wspólnoty (jakkolwiek ją rozumieć).

Człowiek jest wolny kochając

W tym kontekście wolność jawi się już nie tylko jako dar od Boga, co – jak powiedział św. Jan Paweł II – „się nawet nie redukuje do jakichś ludzkich ustaleń. Człowiek może ustalać tylko w obrębie tego, co już jest jakoś zadane w porządku przez człowieka zastanym, porządku stworzonym przez Boga”^[1]. Wolność to jednocześnie ogromne zadanie, od wypełnienia którego zależy, czy będzie ona dla nas zgubna, czy jednak zbawienna. To zadanie, podobnie jak chrześcijaństwo samo w sobie, nie jest dla ludzi, którzy chcą unikać trudów i wyrzeczeń. Chcąc kochać trzeba wyrzec się samego siebie. Zaś chrześcijaństwo to religia miłości. Podobnie jest z wolnością:

„Wolność jest niezwykle cenną wartością, za którą trzeba zapłacić wysoką cenę. Wymaga wielkoduszności i gotowości do ofiar; wymaga czujności i odwa-

gi wobec zagrażających jej sił wewnętrznych i zewnętrznych. W życiu codziennym wielu ludzi jest gotowych do ofiar i uważa za oczywiste, że trzeba czasem wyrzec się czegoś na rzecz rodziny czy przyjaciół. Ofiarę na rzecz wolności ponoszą ci, którzy w imię obrony przed zagrożeniami wewnętrznymi lub zewnętrznymi zgadzają się ponieść straty, które będą oszczędzone innym, narażając nieraz na szwank własne zdrowie lub życie. Nikt nie może się uchylać od osobistej odpowiedzialności za wolność. Nie ma wolności bez ofiar”^[2].

Wolność to dar i zadanie. Wolność to obowiązek i odpowiedzialność. Wolność to siła, która pozwala przetrwać burze i zewnętrzne zniewolenie. Wolność to powołanie każdego człowieka. Takie samo jak powołanie do miłości. Bo nie ma miłości bez wolności, i nie ma wolności bez miłości.



[1] Jan Paweł II, Słowo do młodzieży zgromadzonej przed siedzibą arcybiskupa, Kraków 1987.

[2] Jan Paweł II, Człowiek jest powołany do wolności. Ceremonia pożegnalna, Berlin 1996 r.

Dziecinada



Piotr P. Ulrich

Dzieci, jak każdy inny człowiek zaproszone są do uczestnictwa w Liturgii i czerpania z niej łask Bożych. Doskonale wiemy, że parafie działają bardzo aktywnie, aby wprowadzić maluchy w życie Kościoła – począwszy od specjalnych Mszy dla dzieci, po przygotowanie uroczystości pierwszej Komunii Świętej. Czy wszystko jednak zmierza w dobrym kierunku? W którą stronę powinny pójść takie udogodnienia i czy w każdym przypadku są one właściwe? Nie.

Ubiegłe miesiące, jak co roku, były bardzo intensywne dla całego Kościoła. Po głębokim świętowaniu misterium paschalnego w Świętym Triduum przyszedł czas na paschalną radość[1]. Nieodłącznym zaś jej elementem stały się uroczystości pierwszokomunijne. W Kościele polskim, ale nie tylko, istnieje ten piękny zwyczaj łączenia radości wielkanocnej z możliwością podjęcia pełnej radości duchowej w Komunii z Bogiem. Każdy z nas zna ten widok: małe dziewczynki w białych sukienkach, chłopcy



źródło: pixabay.com

w garniturach i komżach – dzieci prowadzone przez swych rodziców do kościoła, najpierw na samą uroczystość, potem zaś w białym tygodniu. Gdy „sezon” pierwszokomunijny jest już za nami, chciałoby się prosić o kilka słów podsumowania. Niewątpliwie, widok dzieci przyjmujących naszego Pana do swych serc

jest bardzo budujący i można by powiedzieć, ma wartość bezwzględnie pozytywną (okazałbym się heretykiem, gdybym sądził coś innego o przyjmowaniu świętych sakramentów). Uwaga wielu osób jest jednak skupiona na czymś mniej dostrzegalnym, lecz jednak budzącym pewien niepokój.

[1] O radości w wymiarze chrześcijańskim i duchowym pisałem w swoim ostatnim artykule, który ukazał się w 7. numerze Miesięcznika. Możliwe, że jego przeczytanie pomoże w pełniejszym zrozumieniu niniejszego tekstu.



Udogodnienia... czy na pewno?

Z pewnością każdy z nas spotkał się kiedyś z uroczystościami pierwszokomunijnymi w swojej parafii. Są tacy, którzy z chęcią na nie uczęszczają, mimo braku jakichkolwiek rodzinnych powiązań z dziećmi. Można jednak dostrzec także postawę przeciwną: celowego brania udziału w innych Mszach niedzielnych, aby tylko nie trafić na tę jedną, z uroczystością pierwszej Komunii Świętej. Nasuwa się pytanie, dlaczego tak się dzieje? Owszem, można uargumentować to w sposób następujący: nie jestem powiązany z tymi dziećmi, nie chciałbym, jako obca osoba, psuć ich święta. Bardzo często jednak jest inaczej: Msze święte pierwszokomunijne bywają bardzo „przegadane”, ale także infan-

tylne. Piosenki religijne zamiast poważnych pieśni, rozbudowane procesje, w których dzieci niosą dary do ołtarza przy specjalnych komentarzach, celowo infantylizowany język na kazaniu... Ktoś mógłby zapytać, co w tym złego? Jest to przecież dostosowanie Liturgii do dzieci, dzięki temu lepiej przeżywają tę uroczystość.

Nie patrzymy jednak na to, że takie „udogodnienia” bardzo często stanowią nadużycie liturgiczne. Dobrze wiemy, że liturgia rządzi się swoimi prawami i jest w pełni unormowana. Człowiek nie jest panem Liturgii, zaś jej sługą, bo w pokorze należy oddawać cześć Bogu. Niejednokrotnie pojawiają się głosy mówiące, iż jedno nadużycie nie zrobi nic złego, a dzieciom pomoże lepiej przeżyć uroczystość pierwszej Komunii.

Czy jednak pobożność budowana na nieposłuszeństwie jest słuszna? Jak wpływa to na człowieka w dalszej perspektywie?

Lex orandi - lex credendi

„Jak modlisz się, tak też żyjesz” – głosi stara chrześcijańska maksyma. Pogłębianie relacji z Bogiem, życia nadprzyrodzonego, wymaga nieustannej rozmowy z Nim samym. Nie możemy odcinać życia modlitewnego, wewnętrznego, od kultu w całości – dobrze wiemy, że składają się na niego także znaki zewnętrzne, które pobudzają duchowość człowieka. Ktoś mógłby zapytać, po co wyrażać modlitwę na zewnątrz? Zewnętrzność czci, którą oddajemy Bogu, jest potrzebna każdemu człowiekowi, co wynika z jego natury. Ksiądz Alojzy Jougan pisze: „Nie da się zaprzeczyć, że o własnościach jakiejś istoty wtedy tylko możemy coś wiedzieć, jeżeli się ona w jakiś sposób objawia. (...) Każde bowiem podniesienie duszy ku Bogu, każde poruszenie religijne serca ludzkiego, objawia się z natury rzeczy także w sposób zmysłowy. I odwrotnie: potrzebą jest człowieka, by postępował od rzeczy zmysłowych do nadzmysłowych, gdyż tego, co nadzmysłowe, nie zdoła bezpośrednio objąć i uchwycić”.

cić.”[2] Człowiek z natury jest istotą wewnętrzną, ale też zewnętrzną. Ten dualizm ludzki od zawsze był i jest obecny i nie można wymazać go z człowieczej tożsamości. Po takim, dosyć filozoficznym wprowadzeniu, przychodzi pytanie: co, jeśli forma wyrazu liturgicznego powszechnej Mszy świętej z udziałem dzieci okazuje się sztuczna i na siłę dostosowana do ich świadomości? Dziecko też jest człowiekiem i nie należy zaburzać jego poczucia piękna zabawnym kiczem, szczególnie w przestrzeni liturgicznej, która powinna być piękna z natury, co więcej, w sposób obiektywny! Jeśli wprowadzać będziemy do niej elementy dziecięcej zabawy, to w dalszej perspektywie skutkuje zaburzeniem prawidłowej świadomości liturgicznej, wg której Liturgia jest „źródłem i szczytem”, „przedstonkiem nieba”, „oblubieńczym „działaniem Chrystusa i Kościoła”[3]. Po takich zabiegach może stać się przestrzenią całkowicie zwyczajną, zdesakralizowaną, z której po kolei wycofywać się będzie treści wzniosłe, a więc dla człowieka trudniejsze, lecz przynoszące wielkie owoce. Uroczystość pierwszej Komunii Świętej to dla każdego człowieka wydarzenie bardzo waż-



źródło:pixabay.com

ne. Przede wszystkim powinno być takim ze względu na samą wagę sakramentu, który jest udzielany. Dzieci po raz pierwszy przyjmują do swoich serc samego Boga, a co za tym idzie, świadomie sięgają po owoce Najświętszej Ofiary, która dokonuje się na Mszy świętej. To, w jaki sposób odbierać będą ten sakrament i święte obrzędy, zależy właśnie od tego, czy zagadnienie to jest traktowane z należyłą powagą i czcią. W dalszej perspektywie dostrzegamy tzw. Msze „dla dzieci” (właściwie – Msze Święte z udziałem dzieci), które są codzienną rzeczywistością liturgiczną maluchów, uczęszczających do katolic-

kich świątyń. Co stanie się, jeśli w tym powszednim wymiarze duchowości wprowadzać będziemy ciągle elementy kiczu, bylejakości i gołoskórnej przyjemności?

Czego Jaś się nie nauczy...

Wiara jest procesem, zachodzącym w całym życiu człowieka, dlatego należy patrzeć na nią w kontekście całości, nie zaś, wrywając z kontekstu poszczególne okresy życia. Niestety, okazuje się, że wspomniane wyżej „dziecięce udogodnienia” sprawiają, że wprawdzie dziecko poczuje się dobrze przez chwilę, ale, gdy stanie się

[2] Jougan W.A, “Podręcznik teologii pasterskiej wedle najpoważniejszych autorów i nowszych orzeczeń Kongregacji”,

[3] Konstytucja o Liturgii świętej Sacrosanctum Concilium, wstęp

przyzwyczajone do takich praktyk, będzie przekładało je na swoje życie wewnętrzne. Tak jak rozpieszczane w młodości dziecko będzie miało trudności z wkroczeniem w dorosłość, samodzielne życie, tak i wiecznie pobudzane dodatkowymi bodźcami maluchy tak się do nich przyzwyczajają, że nie będą w stanie bez trudności wprowadzać swojej wiary na nowe tory, czynić jej bardziej dojrzałą i rzeczywiście głęboką. Liturgia, niewątpliwie ma charakter dydaktyczny, którego nie sposób zakwestionować. Tak, jak się ją odbiera, tak też będzie uczyć jej uczestników. Jeśli nasza Liturgia będzie trudna, ale jednak dostojna i autentyczna, to taka też będzie nasza wiara, ale także wszystkie inne sfery życia. Pe-

ter Kwasniewski w swojej książce napisał, można powiedzieć, znamienne słowa: „Jeśli chcecie kościołów wypełnionych katolikami znającymi swoją wiarę, kochającymi ją i praktykującymi, dajcie im liturgię wymagającą, głęboką i surową. (...) Psychika człowieka potrzebuje pewnego mroku, nieprzebranej głębi, źródła oporu i trudności, nieznaną wielkości, które stoją w ostrym kontraście ze znajomą codzienną płycizną życia. Człowiek potrzebuje tego, aby mógł poznać, kim jest i dlaczego znalazł się na ziemi.” [4] Aby dzieci mogły w sposób dojrzały przeżywać swoją wiarę w dorosłym okresie życia, to już we wczesnych latach powinno się je przyzwyczajać do liturgii surowej i dojrzałej, aby mogły, na zasadzie

pewnego przeciwieństwa, zachwycić się jej dostojnością i pięknem, wobec perspektywy skażonego grzechem świata i ludzkich serc. Jeżeli jednak w młodości obracać się będziemy wśród liturgicznego kiczu i niepoprawności, uczącego poślężania sprawom wielkiej wagi, a także podejścia do autorytetu, samego w sobie, to w dorosłym życiu będzie podobnie. Co więcej, takie destrukcyjne wręcz podejście, przeniesiemy także do naszego życia społecznego, kulturalnego i politycznego.

Złoty środek

Ktoś mógłby powiedzieć, że powyższy tekst jest jedynie narzekaniem na faktyczny stan rzeczy. Należy więc pochylić się nad tym, jak być powinno. Pytanie jednak, kto powinien określić kierunek zdroworozsądkowego podejścia nie tylko do uroczystości pierwszej Komunii Świętej, ale także do uczestnictwa dzieci w Liturgii? Z pomocą przychodzi nam autorytet Kościoła, który, przez ręce Świętej Kongregacji dla Kultu Bożego po Soborze Watykańskim II wydał „Dyrektorium o Mszach św. z udziałem dzieci”. O ile nie wyszczególnia on konkretnych zapisów odnośnie uroczystości

[4] P. Kwasniewski, „Kryzys i odrodzenie. Tradycyjna liturgia łacińska a odnowa Kościoła” Kraków, 2016, s. 65



źródło: pixabay.com

pierwszokomunijnych, to skupia się jednak na codziennym sprawowaniu Mszy Świętych, w których dzieci uczestniczą. Dobrze wiemy, że Msze, na których Komunia udzielana jest maluchom po raz pierwszy opierają się, w sensie liturgicznym, właśnie na Mszach Świętych z udziałem dzieci, chociaż często ze spotęgowanym efektem.

Przede wszystkim, ów dokument zwraca uwagę na znaczenie wprowadzenia dzieci w Liturgię katolicką, a więc – uświadomienia ich o uroczystym charakterze obrzędów, i wartości symbolu[5], po to, by rozpoczęły swoją drogę duchową w liturgii z pewną wiedzą o Liturgii samej w sobie. Ponadto, tekst skupia się na ogromnym znaczeniu katechezy liturgicznej[6], mającej miejsce w na lekcjach religii, ale także w ramach wychowania odbieranego przez dzieci od rodziców.

Wiadomo, że psychika dziecka jest inna, niż człowieka emocjonalnie i społecznie dojrzałego, więc dopuszczalne są pewne adaptacje w zakresie liturgii, w której uczestniczą. Na-

leży jednak zauważyć, że nigdy nie są zalecane zmiany, które oddziela ów „ryt dziecięcy” od właściwej Liturgii na zasadzie zupełnie odrębnej obrzędowości[7]. Przede wszystkim, w planowaniu takich udogodnień należy pamiętać, iż wszystkie takie zabiegi służyć mają temu, aby dzieci lepiej przeżywały swoją wiarę, a więc skupieniu, wyciszeniu, poczuciu dostojności i uroczystego charakteru liturgii, itd[8]. Nie można dopuścić do tego, że adaptacje będą rozpraszały maluchy, i dawały im zewnętrzne i chwilowe jedynie poczucie radości i przyjemności.

„Jeśli się nie odmienicie i nie staniecie jak dzieci, nie wejście do królestwa niebieskiego”[9] - powiedział nasz Pan. Słowa te, przez biblistów są jednak interpretowane w sposób następujący: „Jeśli nie będziecie wierzyli Bogu tak, jak dziecko wierzy swojej matce, jeśli nie będziecie patrzyli na świat jak dziecko, nie oglądając się na to, co powiedzą ludzie, nie wejście do królestwa niebieskiego.” Jak być dziecięcym, a jednak dojrzałym? Jak stać się dziecięcym, a nie dziecinnym? Powyższy tekst nie

miał na celu narzekania na liturgiczne nadużycia występujące podczas uroczystości pierwszokomunijnych, ale raczej, na przykładzie tych obchodów, ukazać ogólny problem niewłaściwego dostosowania liturgii do dzieci, które nie dość, że godzi w dostojność świętych obrzędów, to przede wszystkim, wprowadza w dzieci złe nawyki, które pozostaną z nimi aż do życia dorosłego. Zakończmy tę analizę słowami kardynała Ratzingera: „Liturgia zdaje się wskazywać, iż w odniesieniu do prawdziwego życia, do którego pragniemy dojść, wszyscy w istocie pozostajemy dziećmi, a w każdym razie powinniśmy nimi pozostać. W takim ujęciu liturgia staje się zatem całkowicie innym rodzajem antycypacji bądź też ćwiczenia wstępnego, jest grą wprowadzającą w przyszłe, wieczne życie. (...) Liturgia byłaby przeto budzeniem w nas prawdziwego dzieciństwa, (...) byłaby ona ukształtowaną formą nadziei, która żyje już przyszłym, rzeczywistym życiem i która uczy nas właściwego życia” [10]



[5] Dyrektorium o Mszach św. z udziałem dzieci 9

[6] Dyrektorium... 12

[7] Dyrektorium... 12

[8] Dyrektorium... 32

[9] Mt 18, 3

[10] J. kard. Ratzinger, „Duch Liturgii” Poznań 2002, s. 15



źródło: wikicommons

Dubrovnik, Chorwacja

„Sznury mi padły na dział wspaniały“^[1] – Opowieść o chrześcijańskich dziejach chorwackiego wybrzeża



Antonio Akmadža

Z każdym rokiem coraz więcej Polaków wybiera Chorwację jako miejsce na odpoczynek podczas letnich wakacji. Bliskość zarówno geograficzna, jak i kulturowa, piękna pogoda, czyste morze, dobre jedzenie i (zazwyczaj) przyjazna atmosfera przyciągają rzesze polskich turystów. W Chorwacji również nie zabraknie atrakcji dla tych, którzy poza pływaniem i opalaniem się, lubią w nowych miejscach podziwiać zabytki i poznawać historię. Bardzo prawdopodobne, że dla naszych czytelników szczególnie ciekawą jest historia chrześcijaństwa na chorwackim wybrzeżu, w tym artykule chcę pisać właśnie o niej.

Historia tych terenów składa się z dwóch podstawowych etapów – śródziemnomorskiego (łacińskiego) i słowiańskiego. Pierwszy pochodzi jeszcze z czasów apostołskich, kiedy dzisiejsze chorwackie wybrzeże

było częścią rzymskiej prowincji – Dalmacji (należącej do większej prowincji – Illirii). W dwóch miejscach zaświadcza o tym Piśmo Święte. Święty Paweł pisze: „Oto od Jerozolimy i na całym obszarze aż po Illirię dopełni-

łem Ewangelii Chrystusa” (Rz 15, 19). W innym miejscu pisze dokąd jego uczniowie udali się głosić Ewangelię. Wspomina wówczas, że Tytus poszedł do Dalmacji (2 Tm 4, 10). Kolejne stulecia były czasem rozkwitu

[1] (Ps 16, 6)

chrześcijaństwa na tym terenie. Drugi etap – słowiański, pojawia się wraz z przybyciem Słowian w VII w. Od razu po osiedleniu się na wschodnim wybrzeżu Adriatyku, rozpoczął się stopniowy proces ich chrystianizacji. Te dwa elementy ukształtowały chorwacki katolicyzm i jego szczególny kulturowy wyraz.

Istria

Opowieść o świadectwach tej historii zacznijmy od Istrii – półwyspu i historycznego regionu na samym północnym zachodzie chorwackiego wybrzeża. Istria zawsze była światem dla siebie, różniącym się od otaczających go regionów, a zarazem była miejscem spotkań różnych kultur i symbolem różnorodności. W średniowieczu była podzielona pomiędzy dwoma państwami: Wenecją, do której należały miasta na wybrzeżu, oraz Świętym Cesarstwem Rzymskim, do którego należała środkowa część półwyspu jako Marhrabstwo Istria.

Konsekwencją tego była przewaga włoskiej ludności w miastach na wybrzeżu, w związku z czym dominowała kultura tego narodu. Na tym niewielkim obszarze istniały wówczas aż 4 diecezje, które pozostawiły jako ślad po sobie cztery katedry, zabytkowe kościoły



źródło: wikicommons

Wnętrze bazyliki Eufrazjusza w Poreću, fot. Klaus D. Peter

i klasztory. Z nich wszystkich najbardziej okazałą jest bazylika Eufrazjusza w Poreću, znajdująca się na liście światowego dziedzictwa UNESCO. Zbudowana została w VI w., kiedy to cesarz Bizancjum – Justinian, rozciągnął swoją władzę aż do Italii, kładąc podwaliny pod przyszłą Republikę Wenecką, „córkę Bizancjum“. Bazylika w Poreću jest jedną z najpiękniejszych przykładów sztuki bizantyjskiej, zarówno pod względem architektury, jak i malarstwa.

W środku półwyspu, na terenach należących niegdyś do feudalnego i rolniczego Marhrabstwa Istrii, zawsze przeważała ludność chorwacka, słowiańska. I choć Istria aż do XX w. nigdy nie należała do Chorwacji, pielęgnowano tam chorwacką kulturę, pozostawiając dzisiejszym pokoleniom piękne dziedzictwo. Dotyczy to przede wszystkim głągolica, jednego z najbardziej oryginalnych elementów chorwackiej kultury. Głągolica to najstarsze

słowiańskie pismo, utworzone przez apostoła Słowian, św. Cyryla. Wraz z uczniami św. Cyryla i Metodego głągolica przybyła w IX w. do Chorwacji, gdzie powstał jej oryginalny rodzaj – głągolica chorwacka. Głągolica w powszechnym użyciu przetrwała na chorwackim wybrzeżu aż do XIX w., w dużej mierze dzięki liturgii, do czego nawiążę w dalszej części artykułu. Środ-

kowa Istria pełna jest śladów tego pisma. Jednym z przykładów jest gotycki kościółek św. Maryi niedaleko miejscowości Beram. Wnętrze tego niepozor-

nego kościółka, znajdującego się pośród przyrody, oddalonego od miasta i wrzawy turystów, ozdabiają przepiękne freski z XV w., z których najbardziej znany jest „taniec zmarłych”. Najciekawsze natomiast nie są same freski, ale towarzyszące im napisy. Przez wieki piśmienna część ludu Bożego stosowała „niegrzeczną” tradycję pisania po ścianach ostrymi przedmiotami. Te wypisane głągolicą hasła, jak np. „diabeł śmierdzi”, stanowią ciekawy obraz dawnej ludowej mentalności.

Zatoka Kvarnerska

Na wschód od Istrii znajduje się Zatoka Kvarnerska. Z północy otoczona górami, a z południa zastonięta wyspami, stanowi swego rodzaju basen, w którym dominuje Rijeka – największy chorwacki port i drugie największe miasto na chorwackim wybrzeżu. W tym wielokulturowym mieście urodził się János

stwo Rijeka), którego amerykański prezydent Wilson chciał uczynić siedzibą Ligi Narodów. A mimo wszystko największą osobowością zamieszkującą to, zdawałoby się świeckie miasto, był Jan Paweł II. Kiedy w 2003 roku odbył swoją trzecią i najdłuższą pielgrzymkę do Chorwacji (i zarazem swoją setną podróż zagraniczną), obrał Rijekę na miejsce swojego za-

mieszkania. I choć jeździł do różnych miast Chorwacji, przez pięć dni codziennie wracał do Rijeki, do mieszkania, które w tamtejszym



Najstarsza tablica zapisana głągolicą odnaleziona na chorwackiej wyspie Krk

źródło: wikicommons

Kádár, wieloletni przywódca socjalistycznych Węgier. Mieszkał w nim burmistrz Nowego Jorku Fiorello La Guardia, a w niedalekiej Opatiji przez pewien czas mieszkał również Józef Piłsudski. W Rijece powstało pierwsze torpedonaświecie, podobnie jak i pierwsze rządy faszystowskie w historii, kiedy po zakończeniu I wojny światowej miasto zajął włoski faszysta, pisarz i awanturzysta Gabriele D'Annunzio. Po jego obaleniu w 1920 r. miasto przez cztery lata było niepodległym państwem (Wolne Pań-

seminarium zostało zbudowane specjalnie dla niego, a które w takim wystroju istnieje do dzisiaj. Karol Wojtyła jako papież nie zamieszkał w żadnym innym mieście poza granicami Włoch przez tak długi czas.

Podczas swojego pobytu w Rijece, papież Polak odwiedził też sanktuarium Matki Bożej z Trsat. Wzgórze trsackie, z którego średniowieczny zamek, franciszkański klasztor i sanktuarium przypatrują się całej zatoce kvarnerskiej, sta-

nowi jedno z najbardziej znanych celów pielgrzymowania w Chorwacji. Według legendy, aniołowie przynieśli nazaretański domek Świętej Rodziny na wzgórze Trsat w 1291 r. (w rzeczywistości zrobili to krzyżowcy). Po trzech latach został przewieziony do włoskiego Loreto (gdzie znajduje się do dzisiaj), a jako rekompensatę papież przysłał trsackiemu sanktuarium ikonę Matki Bożej. W ten sposób powstało pierwsze chorwackie sanktuarium maryjne. Przed cudowną ikoną, Jan Paweł II poprosił trsackich zakonników o modlitwę za niego „za życia i po śmierci”. Podobnych słów papież Polak użył na Kalwarii Zebrzydowskiej, podczas swojej ostatniej wizyty w Polsce. To z ich powodu w trsackim sanktuarium, obok Matki Bożej, szczególnie czczony jest św. Jan Paweł II.

Mówiąc o Zatoce Kvarnerskiej nie wolno pominąć tamtejszych wysp. Stanowią one dzisiaj jedną z dwóch chorwackich, w pełni wyspiarskich diecezji – diecezję Krk. Do najmniejszej diecezji w Polsce, diecezji drohiczyńskiej, należy 185 000 wiernych. Do diecezji z siedzibą w Krk zaś 35 000, mimo że stanowi ona połączenie trzech odrębnych. W historii każda z kvarnerskich wysp była

odrębną diecezją. Na wyspie Krk, bogatej w chrześcijańskie dziedzictwo, w miejscowości Jurandvor obok Baški, znajduje się malutki kościółek św. Łucji. Przechował się w nim najstarszy tekst (XI w.) w języku chorwackim – płyta z Baški. Tekst napisany został w pełni głągolicą. Treść dotyczy podarowania ziemi dla benedyktów przez chorwackiego króla Zvonimira i rozpoczyna się najstarszymi słowami zapisanymi w języku chorwackim: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego”. Samą płytę ozdobiono „chorwacką plecionką”, rozpoznawalnym elementem znajdującym się na większości zabytków z chorwackiego średniowiecza, z powodu którego historycy pieszczotliwie nazywają chorwackie średniowiecze „nieskończoną grą plecionek”.

Przy wyspie Krk warto odwiedzić również małą wysepkę Košljun. Cała wysepka należy do franciszkanów, którzy mieszkają tutaj w średniowiecznym klasztorze, należącym kiedyś do benedyktynów. W tej dawnej oazie głągolicy powstało jedno z najstarszych i najważniejszych źródeł dla języka staro-cerkiewno-słowiańskiego – fragmenty Cloza, również z XI w. Tutaj warto powrócić do wątku głągolicy

w Chorwacji i jej związku z liturgią. Mianowicie, od razu po jej pojawieniu się, kler słowiański używał głągolicy i języka staro-cerkiewno-słowiańskiego w liturgii. Ponieważ Chorwacja była krajem rzymskokatolickim, język staro-cerkiewno-słowiański budził kontrowersje i zarzuty ze strony kleru łacińskiego. O tej kwestii rozprawiało kilka synodów krajowych, a pochylili się nad nią i sami papieże. Ostatecznie, w 1248 r. papież Inocenty IV. pozwolił na używanie staro-cerkiewno-słowiańskiego języka w liturgii, przychylając się do argumentu, że to jest stary i zakorzeniony zwyczaj na tych ziemiach. Liturgia w języku staro-cerkiewno-słowiańskim przetrwała na chorwackim wybrzeżu aż do soboru watykańskiego II, kiedy została zastąpiona liturgią w językach współczesnych (podobnie jak w innych krajach). Liturgia w języku staro-cerkiewno-słowiańskim należała do rytu rzymskiego, nie zaś staro-cerkiewno-słowiańskiego lub bizantyjskiego, jakich do dziś używają Kościoły wschodnie, będące w jedności z Kościołem Katolickim. To jedyny na świecie przykład mszy świętej rytu rzymskiego, odprawianej w języku innym niż łacina przed Soborem Watykańskim II. Zachowana została zasada, mówiąca



Widok na Zatokę Kvarnerską

Źródło: wikicommons

o tym, że językiem liturgii nie jest język żywy. Wolno było używać jedynie języka staro-cerkiewno-słowiańskiego, który różnił się od tego używanego na co dzień przez Chorwatów. „Misal po zakonu rzymskiego dvora” („Misale Romanum Glagolitice”) to pierwsza książka wydrukowana w Chorwacji (1483 r.) i zarazem pierwszy mszał w Europie napisany w języku innym niż łacina.

Dalmacja północna

Opuszczając Zatokę Kvarnerską i kierując się na południe, przybywamy do słonecznej Dalmacji, która jest najbardziej egzotycznym chorwackim regionem, budzącym zachwyt u turystów z całego świata. Dalmatyński teren jest surowy,

kamienny. To region rybaków, dobrego południowego wina i wyśmienitego oleju oliwkowego. Ale to również kolebka chorwackiego państwa. W północnej części, na jednym z rzadkich dla tego regionu równistych krain o nazwie Ravni kotari (w dosłownym tłumaczeniu na polski: powiaty równiste), znajdują się dwa bardzo ważne historycznie miasta: Nin i Zadar. Nin jest miasteczkiem malutkim, ale bardzo dla Chorwatów znaczącym, podobnie jak dla Polaków Gniezno. Kiedy w VII w. słowiańscy Chorwaci wyruszyli ze swojej praojczyzny w południowo-zachodniej Polsce i osiedlili się na terenach, które dzisiaj zamieszkują, i kiedy założyli swoje pierwsze księstwo, na stolicę obrali właśnie Nin. W tej miejscowości rozpoczęła się historia

chorwackiej państwowości i nie da się jej odłączyć od Kościoła katolickiego. Pierwsze „międzynarodowe uznanie” Chorwacji stanowił list papieża Jana VIII do chorwackiego księcia Branimira, w którym papież pobłogosławił jego panowanie. Kiedy Chorwacja w 925 r. przekształciła się w królestwo, papież Jan X napisał list skierowany do „drogiego syna Tomislava, króla Chorwatów”. W tym kontekście jest znamienne, że pierwszym znaczącym państwem, które uznało chorwacką niepodległość w 1991r., był Watykan. Doszło wówczas do złamania zasady, że Stolica Apostolska uznaje nowe granice dopiero jako ostatnia. W miejscowości Nin świadectwem początków chrześcijaństwa u Chorwatów jest również starochorwacki ko-

ściół św. Krzyża. Nin był siedzibą pierwszej słowiańskiej diecezji na chorwackim terytorium, a wspomniany kościółek znany jest jako „najmniejsza katedra na świecie”. Drugim ważnym świadectwem wczesnego chrztu Chorwatów jest chrzcielnica księcia Višeslava z 800 r., ozdobiona chorwacką plecionką.

Obok małego Ninu znajduje się wielki Zadar. To miasto, w świecie klasycznym znane jako Iadera, było stolicą państwa Liburnów. Istniało jeszcze przed zajęciem tego terytorium przez Imperium Rzymskie. Zadar również w średniowieczu był dużym i ważnym miastem. W 1177 r. miasto miało zaszczyt gościć papieża Aleksandra III. Wizyty papieskie nie różniły się wtedy zbyt od dzisiejszych papieskich pielgrzymek, o czym świadczy wspomnienie kardynała Bozona, członka suity papieskiej. Opisał on pobyt Aleksandra III w Zadarze: „A stamtąd [z wyspy Vis], płynąc obok innych dalmatyńskich wysp, jeszcze przed wschodem słońca, razem z bracią (...) przywieźli go zdrowego i radosnego do miasta Zadar, które znajduje się na rubieżach Królestwa Węgier. A skoro do tej pory tego miasta nie odwiedził żaden papież, z powodu przybycia papieża w mieście nastąpiła wielka szczęście i nieopisana radość wśród

duchowieństwa i ludu, i wszyscy błogostawili Pana, który w nasze dni raczył odwiedzić Zadar poprzez Aleksandra, swojego sługę i następcę św. Piotra. I kiedy mu zgodnie z rzymskim zwyczajem przygotowano białego konia, zabrano go w procesji przez miasto przy śpiewaniu niezliczonych hymnów i pieśni, które głośno pobrzmiwały w ich chorwackim języku, aż do głównego kościoła św. Anastazji, w którym z honorami leży owa dziewica i męczennica. Po czterech dniach pobytu w Zadarze wyszedł z miasta, i płynąc szczęśliwie obok chorwackich wysp i małych nadmorskich miasteczek Istrii, z pomocą Bożą, radosny przybył do klasztoru św. Mikołaja w Rialto (Wenecja).”

Oprócz wspomnianej katedry św. Anastazji, w Zadarze można zobaczyć również relikwie św. Symeona, tego samego który w Jerozolimie wziął do rąk Dzieciątko Jezus i wyśpiewał znany kanyk, a który w Zadarze leży w przepięknej ozdobnej szkatule. Jednak, niedługo po odwiedzinach Zadaru przez papieża, miasto doznało klęski z rąk krzyżowców. Wybrzeże Chorwacji, chronione jest przez liczne wyspy, umożliwiające bezpieczny przepływ statków. Dla Republiki Weneckiej ogromne, strategiczne znaczenie miały wschodnie wybrzeża

Adriatyku. Całe średniowiecze Adriatyku naznaczone jest próbami zapanowania Wenecji nad tymi miastami i wyspami. Dawni Liburni, żeglujący w swoich małych, szybkich i zwinnych łódkach pomiędzy wyspami i zatokami, stanowili zagrożenie dla Rzymian. Długo utrzymywali swoje państwo przed siłą rosnącego imperium. Chorwaccy marynarze podobnie zadawali klęski weneckim statkom bojowym w średniowieczu. Wenecja więc postanowiła posłużyć się sprytem i wykorzystać czwartą wyprawę krzyżową do zdobycia Zadaru. Zaoferowała krzyżowcom transport swoimi statkami w zamian za zdobycie tego miasta. Na marne mieszkańcy Zadaru wywiesili na murach krzyże i święte obrazy, aby przypomnieć armii oblężniczej, że to miasto chrześcijańskie. Krzyżowcy miasto zdobyli i splądrowali, co było szokiem dla całej chrześcijańskiej Europy. Był to pierwszy raz, kiedy krzyżowcy zaatakowali chrześcijańskie miasto, a tym bardziej katolickie. Napastnicy zostali potem ekskomunikowani przez papieża. Zadar jednak stanął ponownie na własne nogi. Największy rozkwit przypada na XIV w., za panowania Ludwika Andegawskiego, wspólnego króla Polski, Węgier i Chorwacji. To była złota epoka chorwackiego średniowiecza, a Zadar był

wtedy głównym ośrodkiem kulturowym. Warto wspomnieć, że Zadar był ostatnim chorwackim miastem jakie odwiedził papież Jan Paweł II. Tutaj papież pożegnał się z Chorwacją w wyjątkowo gorącej atmosferze, jaką tworzyli liczni pielgrzymi.

Na południe od Zadaru znajduje się miasto Szybenik z zabytkową katedrą św. Jakuba. Z Szybeniku pochodzi pierwszy chorwacki kanonizowany święty – franciszkanin Mikołaj Tavelić, który zginął śmiercią męczeńską. Bezpośrednim powodem śmierci było głoszenie Ewangelii w jerozolimskim meczecie. W okolicach Szybenika

znajduje się małe miasteczko Skradin. Niektórzy uważali, że znajdował się w nim starożytny Strydon, ale ta teoria została obalona. Wiemy jednak, że Strydon na pewno znajdował się w Dalmacji, a ważny jest z tego powodu, że urodził się w nim św. Hieronim, jeden z ojców Kościoła. Ponieważ miał ciężki charakter, zwyczaj mawiać: „Wybacz mi, Panie, że jestem Dalmatyńczykiem!” („Parce mihi, Domine, quia Dalmata sum!”). Każdy kto poznał temperament dzisiejszych Dalmatyńczyków, łatwo zrozumie sens owych słów.

Dalmacja południowa



źródło: wikicommons

Kościół Świętego Krzyża w Ninie

Największym miastem w Dalmacji jest Split. W starożytności swój pałac zbudował tutaj rzymski cesarz Dioklecjan, prześladowca chrześcijan. W okolicach Splitu dzisiaj znajduje się miasteczko Solin, ale w starożytności to pałac w Splitcie znajdował się w okolicach Solinu, wtedy największego miasta i stolicy Dalmacji, który po łacinie nazywa się „Salona”. Kiedy w czasach wielkiej wędrówki ludów Solin został splądrowany przez barbarzyńców, pozostała ludność ukryła się za murami pałacu Dioklecjana w Splitcie i w nim wiodła swoje życie. W ten sposób z pałacu zaczęło powstawać miasto, dzisiejszy Split. Powstała tam także katedra, którą niektórzy badacze uważają za najstarszą na świecie (co publicznie powiedział swego czasu również kardynał Tarcisio Bertone). Jan Paweł II odwiedził Split i Solin. W Solinie spotkał się z młodzieżą przy starochorwackim kościele Najświętszej Maryi Panny, zbudowanym w 976 r. To najstarszy chorwacki kościół poświęcony Maryi. Przy nim Jan Paweł II wspólnie z chorwacką młodzieżą zaśpiewał popularną pieśń religijną „Rajska Dziewico, Królowo Chorwatów”. Głęboka pobożność maryjna i uznanie Maryi za Królową narodu to jeden z elementów łączących chorwacką i polską duchowość. Mówiąc o podobieństwach war-

to też wspomnieć, że tak samo jak i Polska, Chorwacja uzyskała od papieża miano „przedmurza chrześcijaństwa” z powodu jej roli w obronie Europy przed Turkami (tytuł nadał Leon X w 1519 r.).

Na samym południu Dalmacji znajduje się jedno z najstarszych chorwackich miast – Dubrownik. Od 1358 do 1808 r. miasto było odrębną republiką: tutaj powstała pierwsza kwarantanna w Europie, jeden z pierwszych systemów kanalizacyjnych w średniowiecznej Europie (używany aż do dzisiaj), jedna z pierwszych aptek, pierwsza europejska ustawa o ubezpieczeniach, pierwszy europejski ogród dendrologiczny, jeden z pierwszych sierocińców. Republika Dubrownicka była pierwszym państwem na świecie, które zniósło niewolnictwo (w 1416 r.) i uznało niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki (w 1783 r.). W Dubrowniku powstały niektóre z najstarszych dzieł chorwackiej literatury, szczególnie w okresie renesansu i baroku, łącznie z epopeją „Osman” Ivana Gundulicia, w którym autor wychwala bohaterstwo Polaków. W XVI w. biskupem Dubrownika był Giovanni Angelo de Medici, który później został papieżem Piusem IV. Wspominał o nim też Jan Paweł II, kiedy 2003 r. od-

wiedział Dubrownik i katedrę św. Błażeja. Obchody wspomnienia tego patrona odbywają się nieprzerwanie od 972 r. i zostały wpisane na listę niematerialnego światowego dziedzictwa UNESCO.

W pobliżu Dubrownika znajduje się wyspa Mljet. To jest jedna z najpiękniejszych chorwackich wysp i zarazem park narodowy. Prawdopodobnie to właśnie Mljet, a nie Malta, był wyspą, na której rozbił się statek św. Pawła. Takie stwierdzenie może się na pierwszy rzut oka wydawać mało prawdopodobne i kontrowersyjne. Jednak na terenie Dubrownika ta tradycja żyje od dawien dawna, a istnieje wiele świadectw o jej prawdziwości. W Dziejach Apostolskich napisane jest, że miejscem zdarzeń jest Adriatyk: „Kiedy zapadła czternasta noc, a nas rzuciło po Adriatyku, zdawało się około północy żeglarzom, że zbliżają się do jakiegoś lądu” (Dz 27, 27). W następnym rozdziale jest napisane: „Po ocaleniu dowiedzieliśmy się, że wyspa nazywa się Malta” (Dz 28, 1). Jednak po grecku (w którym księga została spisana), nazwa tej wyspy brzmi „Melita”, a to była grecka nazwa nie tylko Malty, ale też Mljetu. Św. Pawła na wyspie atakował wąż. Na Malcie nie ma i nigdy nie było jadowitych węży, podczas gdy na Mljecie jeszcze

do niedawna było ich bardzo dużo. W oryginalnym tekście mieszkańcy wyspy nazwani są barbarzyńcami, czego raczej by nie powiedziano o mieszkańcach Malty, która była znaną wyspą, wchodzącą od dłuższego czasu w skład Imperium Rzymskiego. Nazwy wiatrów, opisanych w Dziejach Apostolskich oraz sposób ich działania, również skłoniły wielu badaczy do stwierdzenia, że wspomnianą wyspą jest Mljet. Istnieją również źródła historyczne, potwierdzające powyższe przypuszczenie, jak np. „De administrando Imperio” bizantyjskiego cesarza Konstantyna X.

Udając się jeszcze bardziej na południe, napotkamy przepiękną Zatokę Kotorską, należąca dzisiaj do Czarnogóry, ale wchodzącą w skład Dalmacji do 1918 r. Obecnie diecezja w Kotorze należy do splickiej metropolii. Chorwaci tę zatokę nazywają „zatoką świętych”, gdyż większość chorwackich świętych pochodzi właśnie stamtąd, na czele z wielkim spowiednikiem karłowatego wzrostu, św. Leopoldem Mandiciem. W tej zatoce rozpoczyna się też jeszcze jedna, w świecie mało znana opowieść. Mianowicie, w czasach wojen z Turkami, wielu Chorwatów udało się na zachód w poszukiwaniu lepszego życia. Jedną z takich wspólnot

została założona w włoskiej re-
gii Molise, gdzie do dzisiaj za-
chowwała swój język i tradycje.
Jednym z osiedleńców był nie-
jaki Peretti, pochodzący z wio-
ski Kruščica we wspomnianej
zatoce (zarówno włoska nazwa
Peretti jak i chorwacka Kruščica
oznaczają gruszkę). Poślubił
Włoszkę, a ich syn Felice został
papieżem Sykstusem V. O chor-
wackim pochodzeniu Sykstusa
V świadczy fakt, że zanim zo-
stał papieżem należał do rzym-
skiej kapituły św. Hieronima,
a warunkiem do tego była zna-
jomość języka chorwackiego
(dzisiaj tam się znajduje papie-
skie kolegium chorwackie). Sy-
kstus V za swojego pontyfikatu
wiele razy okazał przychylność
dla Chorwatów – m. in. jedyny
niewłoski kardynał, którego

mianował, był biskup Zagrze-
bia Juraj Drašković. Papież Leon
XIII w bulli „Slavorum gentem”
pisze o dobrotności Sykstusa
V „wobec narodu chorwackiego,
z którego się wywodził” („atque
in Chroaticam nationem, ex qua
ducebat originem..”).

Kończąc tę podróż przez hi-
storię należy podkreślić, że to
tylko mały procent ciekawych
dla historii chrześcijaństwa
miejsc i opowieści w Chorwacji.
I chociaż artykuł poświęcony
jest wybrzeżu, należy dodać, że
również kontynentalna Chor-
wacja jest pełna pięknych chrze-
ścijańskich zabytków. Warto
tam zwiedzić neogotycką archi-
katedrę w Zagrzebiu i zapoznać
się ze słynną historią tej diecezji
i katedry, przy której funkcjono-

wała największa kapituła w ca-
łych Austro-Węgrzech i w któ-
rej pochowany jest kardynał
i błogosławiony Alojzy Stepinac,
wielki święty XX stulecia. Nie-
opodal Zagrzebia znajduje się
chorwackie narodowe sanktu-
arium maryjne w Marija Bistrica,
a na samym wschodzie państwa,
w diecezji która korzeniami się-
ga do św. Metodego, w mieście
Zakovo, znajduje się najwięk-
sza katedra w Chorwacji, zbu-
dowana w XIX w. Wszystkie te
trzy miejsca odwiedził papież
Jan Paweł II, który za swojego
pontyfikatu nawiązał szczegó-
lony kontakt z tym krajem, i który
pozostał do dziś w sercach chor-
wackich katolików.





źródło: unsplash.com

Jak żyć po chrześcijańsku? Recepta C.S. Lewisa cz. I



Tymoteusz Pyda

„Wierzę w prawdziwość chrześcijaństwa, podobnie jak wierzę, że słońce wzeszło – nie tylko dlatego, że je widzę, lecz także dlatego, że dzięki niemu widzę wszystko inne” (Clive Staples Lewis). Niemal każdy z nas nieustannie słyszy dobre rady, widzi poradniki „jak skutecznie...”, czy jest świadkiem obwieszczenia przepisów na szczęśliwe życie. Czasami przestajemy się czuć nie tyle znawcami, co nawet autorami własnego losu. Czy odpowiedzią może być kolejna propozycja, tym razem znanego autora powieści dla dzieci oraz książek z zakresu filozofii?

„Lecz dla nich prawdziwa opowieść dopiero się zaczęła”[1]

Nim zaczniemy tę wspólną podróż jestem winien szanow-

nym Czytelnikom krótkie wprowadzenie. Cykl artykułów na temat recepty profesora z Kilns na szczęśliwe, chrześcijańskie życie to efekt wysiłku włożonego w pracę licencjacką[2], dlatego

też proszę o udzielenie mi kredytu zaufania na, zdawałoby się, ten nieco długi czas w dojściu do celu naszej wspólnej wędrówki. Proszę czerpać garściami z bogatego lewisowskiego świa-

[1] C.S. Lewis, *Opowieści z Narnii. Ostatnia bitwa*, tł. A. Polkowski, Poznań 2008, str. 256.

[2] T. Pyda, *Ideal życia chrześcijańskiego w twórczości C.S. Lewisa*, Katowice 2017.

ta myśli, a w razie jakichkolwiek pytań służę pomocą.

Biografia C.S. Lewisa

Clive Staples Lewis pojawił się na tym świecie 29 listopada 1898 roku w Belfaście w Irlandii. Jego ojcem był Albert James Lewis z zawodu notariusz, a matką Florencja Augusta z domu Hamilton, osoba obdarzona dużymi zdolnościami matematycznymi, która ostatecznie, oprócz zajmowania się dziećmi, została niezależną dziennikarką. Miał także o trzy lata starszego brata – Warrena, z którym do końca życia utrzymywał bardzo przyjacielskie stosunki[3]. W 1905 roku dzięki rosnącej zamożności firmy prawniczej Alberta, cała rodzina przeniosiła się do Little Lea – dużego domu położonego na przedmieściach Belfastu. Swoje nowe miejsce zamieszkania opisuje tak: „«Nowy Dom», jak nazywaliśmy go między sobą przez długie lata, był bardzo duży nawet jak na moje obecne zapatrywania, a dziecku wydawał się wielkim miastem. (...) W mojej opowieści Nowy Dom odgrywa rolę niemal pierwszoplanową. Jestem tym,

kim jestem, dzięki jego długim korytarzom i nastonecznionym pokojom, dzięki ciszy na piętrze, poddaszu zwiedzanemu w samotności, dalekim odgłosem bulgoczących rur i wiatru świszczącego pod dachówkami. A także dzięki ogromnej liczbie książek”[4]. „Nowy Dom” posłużył później pisarzowi, jako pierwowzór dużego domu prof. Kirke, jednego z bohaterów cyklu *Opowieści z Narnii*, w którym mogło się schronić na czas wojny rodzeństwo Pevensie. Dzięki matce, młody Lewis bardzo dużo czasu poświęcał na czytanie różnorodnych książek. Jako posiadacz niezwykle bujnej wyobraźni snuł także własne opowieści, szczególnie o rycerzach oraz zantropomorfizowanych zwierzętach. Jego pierwszym dziełem była *Kraina zwierząt, opowieści o królikach i myszach dzielnie walczących z zagrażającymi im kotami*. Jego starszy brat w owym czasie niezmiernie zainteresowany był Indianami, które udało się sprytnie wkomponować w świat przedstawiony tej książki[5]. Tradycją rodzinną były wakacyjne rejsy morskie. To właśnie podczas jednej z takich podróży Clive

przyjął imię Jacksie (później skrócone do „Jack”): „Ponieważ nie lubił imienia Clive, a zdrobnienia uważał za uwłaczające jego godności, podszedł ku matce, wskazał palcem na siebie i oznajmił: «On ma na imię Jacksie»”[6]. Niestety, zanim ukończył dziesiąty rok życia jego matka – Flora umarła w skutek choroby nowotworowej. Ta sytuacja bardzo mocno wpłynęła na życie Jacka, stracił poczucie bezpieczeństwa i ciepło domu rodzinnego, a jego ojciec mocno przytłoczony śmiercią żony popadł w letarg i stawał się coraz bardziej odległy i nieobliczalny. To wtedy przyjaźń między braćmi niezwykle się pogłębiła i została taka, już na całe życie[7].

Szkoła

Jesienią 1908 roku młody Lewis po raz pierwszy poszedł do szkoły. Pierwsze doświadczenia były dla niego raczej nieprzyjemne. Wynyard School określił mianem obozu koncentracyjnego, a głównego pedagoga i jednocześnie dyrektora placówki człowiekiem chorym psychicznie. Na szczęście ten smutny czas skończył się niedłu-

[3] Zob. M. White, *C.S. Lewis. Chłopiec, który spisał dzieje Narnii*, tł. I. Scharoch, Warszawa 2007, str. 18-20.

[4] C.S. Lewis, *Zaskoczony radością. Moje wczesne lata*, tł. M. Sobolewska, Kraków 2010, str. 19-20.

[5] J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia C.S. Lewisa (1898-1963)*, tł. K. Mądel SJ, Kraków 1995, str. 21-22.

[6] W.H. Lewis, *Letters of C.S. Lewis*, New York 1966, str. 2; cyt. za: J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 22.

[7] Zob. C.S. Lewis, *Zaskoczony radością...*, str. 31-32.



źródło: wikicommons

Dom Lewisa w Klins (fot. jschroe)

go później, bo już w 1910 roku, gdy szkoła została zamknięta. Jednak czasu tam spędzonego profesor nie uważał za całkowicie bezproduktywny. Dzięki Staremu (czyli dyrektorowi) nauczył się geometrii oraz krytycznego myślenia. Po raz pierwszy też spotkał się z wykładami, które mówił głęboko religijny człowiek, który zachęcił go do czytania Pisma świętego oraz prowadzenia dysput religijnych[8]. We wrześniu 1910 roku trafił do położonego niedaleko domu Campbell College, w którym nie spędził zbyt wiele czasu, ponieważ już po około sześciu tygodniach, ze względu na liczne choroby, wrócił po raz kolejny do domu, gdzie spędził resztę trzymestru pod opieką ojca. Albert miał pewne problemy z zaakcep-

towaniem stałej obecności syna w domu, więc jak najszybciej postarał się znaleźć młodemu Lewisowi miejsce w nowej placówce edukacyjnej. I już w styczniu 1911 roku rozpoczął edukację w Cherbourg House w Malvern. To tam po raz pierwszy w życiu spotyka się z rzetelnym nauczaniem, poznaje pierwszych prawdziwych przyjaciół oraz odrzuca te resztki chrześcijaństwa, które wcześniej w sobie wykształcił. Zaczyna się interesować angloamerykańską tradycją okultystyczną, głównie za sprawą panny Cowie, która była przełożoną internatu. Spory wpływ na to z pewnością miało głębokie uczucie jakie do niej żywił, które mogło mieć podtekst erotyczny[9]. Zainteresowania Lewisa szybko się zmieniły, gdy panna

Cowie straciła swoją posadę. Egzotyczne teorie spirytystyczne, zastąpiła fascynacja „Północą”: „Północ była dla Lewisa wymyślonym światem, zaludnionym przez bohaterów z zamierzchłych czasów, wizją miejsca i czasu, które w istocie nigdy nie istniały, krainą z legend. To barwne tło utkane było z muzyki Wagnera, przeplatanej się w wyobraźni Lewisa z ilustracjami autorstwa Artura Rackhama i skrawkami zachowanego folkloru oraz fragmentami angielskiej mitologii[10]”. Nowa pasja została z pisarzem już przez całe życie, prawdopodobnie to dzięki niej powstał później cykl *Opowieści z Narnii*, które wypełnione są motywami zaczerpniętymi z mitologii skandynawskiej. Mając niespełna szesnaście lat Lewis, w ślad za swoim starszym bratem, zostaje wysłany do Malvern College. W nowym środowisku czuje się niepewnie, tym bardziej, że Warren zrezygnował z nauki, gdyż groziło mu dyscyplinarne zwolnienie za niewłaściwe zachowanie. Albert posłuchał prośby syna i w niedługim czasie przeniósł go do Bookham, na prywatne nauczanie u Williama T. Kirkpatricka, byłego rektora Lurgan College. Rozpoczęcie

[8] Zob. Tamże, str. 40-48.

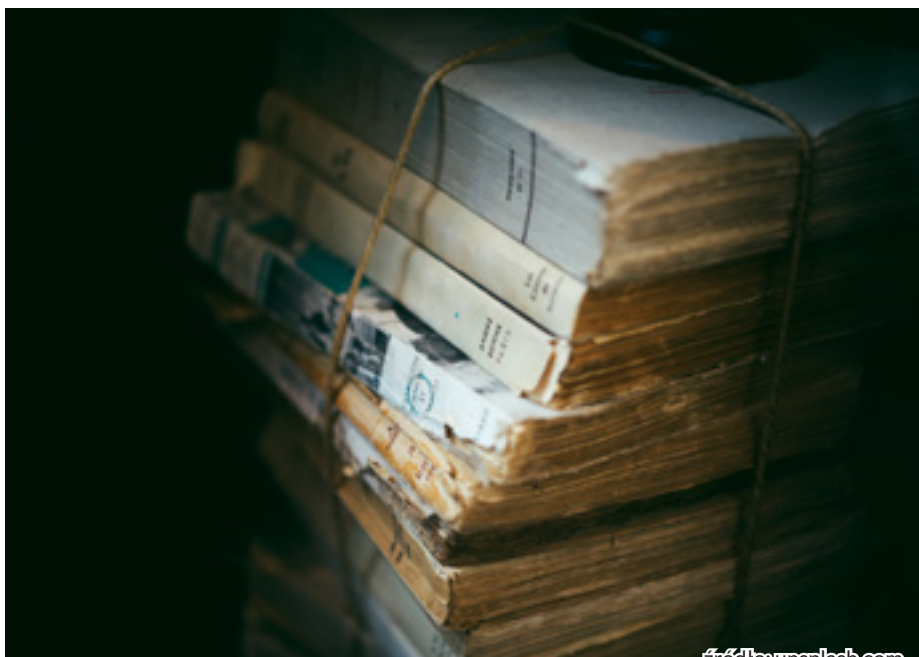
[9] Zob. M. White, *C.S. Lewis. Chłopiec...*, str. 41-42.

[10] Tamże, str. 42-43.

nauczania w nowym miejscu zbiegło się w czasie z wybuchem I Wojny Światowej oraz wyjazdem Warniego do Francji. Plan przygotowania przyszłego filozofa do egzaminów na studia był bardzo drobiazgowy i skupiał się przede wszystkim na łacinie i grece. Kirkpatrick jako logik uczył Lewisa krytycznie myśleć; to William pierwszy zauważył jak wszechstronnie uzdolniony i wybitnie inteligentny jest przyszły profesor literatury. Great Knock (bo takie miał przezwisko były rektor) był przykładem człowieka bardzo racjonalnie myślącego, tępiącego wszelkie objawy niedbalstwa umysłowego i nieznoszącego braku poszanowania dla wiedzy. Ten okres życia niezwykle mocne piętno odcisnął w umyśle i charakterze Lewisa, a precyzyjne formułowanie myśli oraz poddawanie w wątpliwość wielu rzeczy, zdawać by się mogło oczywistych,

można zobaczyć na kartach wszystkich jego książek[11]. Dzieląc czas między czytanie ogromnej ilości książek, gorące dyskusje ze swoim mentorem Kirkpatrickiem oraz długie piesze wycieczki po idyllicznej okolicy (co, jak twierdził, odziedziczył po dziadku ze strony matki), nieustannie poszukuje „Radości”, którą niegdyś po raz pierwszy doświadczył we wczesnym dzieciństwie. Dla Lewisa „Radość” to „słodka tęsknota, która nagle ogarnia człowieka i stanowi szczególnej jakości przeżycie”[12]. Ważną pozycją w intelektualnej podróży są Fantazje George’a MacDonalda, które pokazują Lewisowi istnienie schrystianizowanego romantyzmu. Niemniej, to wydarzenie nadal nie spowodowało nawrócenia młodego uczonego, a ciągłe przebywanie z Great Knockiem skutecznie spowodowało, iż uważał on chrześcijań-

stwo za zbiór opowieści i mitów prostego ludu, który w ten sposób tłumaczył sobie zjawiska natury. 1917 to przełomowy rok. Kilka miesięcy wcześniej nie udało się Lewisowi dostać do New College w Oksfordzie, postanowił więc w dalszym ciągu korzystać z pomocy Kirkpatricka i starać dostosować się do poziomu z matematyki, jaki obowiązywał na egzaminach wstępnych. Niestety został zwerbowany do wojska, a po rutynowym przeszkoleniu trafił do Pułku Lekkiej Piechoty z Somerset i dokładnie w dniu swoich dziewiętnastych urodzin przybywa na front. Niezbyt długo może próbować żołnierskiego życia, ponieważ już w kwietniu 1918 roku zostaje ranny i trafił do szpitala, a w styczniu 1919 następuje demobilizacja, przez co już nigdy więcej nie wróci na pole bitwy. W trakcie zmagania wojennych poznaje Irlandczyka Edwarda „Paddy’ego” Moore’a. W atmosferze tymczasowości zawieranie przyjaźni było znacznie prostsze, przez co Lewis bardzo dobrze poznał rodzinę swojego kompana, a po jego śmierci na wojnie, postanawia przyjąć do siebie matkę Paddy’ego, panią Janie Moore, którą opiekować się będzie aż do jej



źródło:unsplash.com

[11] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 24-25.

[12] Tamże, str. 26.

śmierci w 1951 roku. Gdy wrócił do Anglii, dzięki specjalnemu dekretnowi, który pozwalał wszystkim weteranom wojennym na zwolnienie z obowiązku pisania testów wstępnych, Lewis podejmuje studia na wymarzonej uczelni[13].

Życie akademickie i nawrócenie

W Oksfordzie zaprzyjaźnia się z Owenem Barfieldem, który zdaje się być całkowitym przeciwieństwem przyszłego profesora[14]. Tam też w 1919 roku wydaje pierwszy w swojej karierze tomik poetycki *Spirits In Bondage* (*Duchy Zniewolone*), która zostaje raczej chłodno przyjęta. Zdolności intelektualne Lewisa szybko zostają zauważone, gdy w 1920 roku zdaje z najlepszym wynikiem egzamin z historii, a później w 1922 roku egzamin z humaniorów. Niestety mimo tych osiągnięć, a także między innymi dostania nagrody państwowej za esej w języku angielskim, nie był w stanie uzyskać stałej pracy. Dzięki finansowemu wsparciu ojca mógł jeszcze przez trzy kolejne lata dalej studiować. Los zaczął się do niego uśmiechać,

gdy w 1924 roku powierzono mu zastępstwo w katedrze filozofii, a rok później został przyjęty do Magdalen College na stanowisku wykładowcy języka i literatury angielskiej[15]. Od tego momentu można zauważyć największy rozkwit C.S. Lewisa, zarówno ten intelektualny, jak i duchowy. Dzięki regularnym spotkaniom grupy Inklinatów („Kapowników”), w których uczestniczyły takie postaci jak: J.R.R. Tolkien, N. Coghill, H.V.D. Dyson, A.C. Harwood oraz C.T. Onions, a także dzięki uważnej lekturze między innymi Samuela Alexandra, J.G. Frazera, czy G. K. Chestertona, profesor powoli zaczyna odchodzić od ateizmu i równie powoli jego światopogląd kieruje się ku chrześcijaństwu. W 1929 roku dochodzi do dużego przełomu: „Młody ateista nie może być zbyt ostrożny, strzegąc swojej wiary w nieistnienie Boga. Niebezpieczeństwa czyhają na każdym kroku. (...) Wyobraźcie sobie mnie, jak sam w moim pokoju w Magdalen, co wieczór, gdy choć na sekundę oderwę się od pracy, odczuwam wyraźnie nieprzerwane i nieustępliwie zbliżanie się Tego, którego tak szczerze pragnęłam nigdy nie spotkać. W końcu to,

czego tak bardzo się obawiałem, stało się faktem. W letnim semestrze 1929 roku poddałem się, uznałem, że Bóg jest Bogiem, padłem na kolana i zacząłem się modlić. Byłem zapewne tamtego wieczoru najbardziej przygnębionym i opornym neofitą w całej Anglii. Nie dostrzegałem wtedy tego, co dziś jest dla mnie najoczywistszą, promienną prawdą: Bóg jest tak pokorny, że przyjmuje nawrócenie grzesznika nawet na takich warunkach. (...) Boska stanowczość jest łagodniejsza niż ludzka pobłażliwość, a Jego przymus jest naszym wyzwoleniem[16]”. Dla samego autora tych słów było to nawrócenie na teizm, jeszcze nie na chrześcijaństwo. Kolejny krok Lewis wykonał w całkiem zwyczajnych okolicznościach. Po pierwszym zbliżeniu się do Boga postanowił, jako człowiek honorowy, być konsekwentnym, więc co niedzielę chodził do kościoła na nabożeństwa, a w tygodniu do uniwersyteckiej kaplicy. Podjął także, wspólnie z B. Griffithsem, trud poszukiwania Prawdy, tej, która z definicji może być tylko jedna. Lewis przeszedł trudną drogę, od Absolutu do „Ducha”, od „Ducha” do Boga. Teraz ciągle się do Niego przybliżając

[13] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 26-27.

[14] Zob. C.S. Lewis, *Zaskoczony radością...*, str. 290.

[15] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 28.

[16] C.S. Lewis, *Zaskoczony radością...*, str. 327 i 330-331.



źródło:unsplash.com

pisarz musiał przyjąć prawdę o Wcieleniu. „Doskonale pamiętam kiedy – choć nie pamiętam, w jaki sposób – dokonał się ten ostatni krok. Pewnego razu w słoneczny poranek wybraliśmy się na wycieczkę do Whipnade. Kiedy wyruszyliśmy, nie wierzyłem, że Jezus Chrystus jest Synem Bożym, a kiedy przyjechaliśmy do ogrodu zoologicznego, byłem o tym przekonany. Nie można jednak powiedzieć, iż spędziłem podróż zatopiony w myślach, albo że miały mną emocje. (...) Czułem się raczej jak człowiek, który po długim śnie, nadal leżąc nieruchomo, zaczyna powoli zdawać sobie

sprawę, że się obudził[17]”. Podróż do Whipnade Zoo miała miejsce 28 września 1931 roku, gdy Lewis miał niedługo skończyć 33 lata życia. W tym okresie jego ojciec – Albert odszedł z tego świata, a pisarz zamieszkał wspólnie z panią Moore, jej córką Maureen, a nieco później także z bratem Warrenem, w posiadłości w Kilns, w której przebywał aż do swojej śmierci.

Pisarz i filozof

Swoje nawrócenie Lewis opisał w książce *Błądzenie pielgrzyma*. Alegoryczna obrona chrześcijaństwa, rozumu i ro-

mantyzmu, która została wydana w maju 1933 roku. Kolejnym dziełem była *Alegoria miłości*, której pierwszy nakład był dostępny w 1936 roku. Jest to praca naukowa najwyższej klasy pokazująca pierwszorzędność naukową Lewisa[18]. Był on człowiekiem niezwykle poukładanym, nie znośił marnowania czasu. Jego wykłady cieszyły się niezwykłą popularnością, a ogromną ich zaletą była erudycja i duże poczucie humoru prowadzącego. To we wcześniejszej już wspomnianej grupie Inklingów wiele utworów pisarza było poddawane krytyce, co pozwalało także na zacieśnianie więzów przyjaźni jej członków. W roku 1938 profesor wydaje swoją pierwszą powieść fantastyczną *Z milczącej planety*. Jej celem jest przemycenie pewnych zagadnień teologicznych pod płaszczykiem literatury science fiction. *Perelandra* (czyli *Podróż na Wenus*) drugi tom Trylogii kosmicznej powstaje dopiero w 1943 roku, a *Ta ohydna Siła* w roku 1945. Oba tomy rozwijają wątki z pierwszej części, a także wskazują na nowe problemy, które są aktualne również i dzisiaj. Po ukończeniu tego cyklu autor już nigdy więcej nie powrócił do

[17] Tamże, str. 344.

[18] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 31-32.

tw. fantastyki naukowej[19]. W 1940 roku Lewis zewsząd otoczony rzeczywistością wojenną ukończył książkę *Problem cierpienia*. W delikatny sposób porusza on tematykę cierpienia, między innymi: dlaczego Bóg dopuszcza tyle cierpienia w świecie? Mocno zaangażowany w służbę cywilną tworzy cykl pogadanek na kanwie których wydane zostaną drukiem: *Brzemie chwały* w 1941, *Chrześcijaństwo po prostu* w 1941 [drukiem dopiero w 1952] oraz *Listy starego diabła do młodego* w 1942 roku. Ta ostatnia w lekki i humorystyczny sposób opisuje przebieg kuszenia z perspektywy szatana. Przyniosła mu ona dużą rozpoznawalność, jak i spory dochód, który to autor postanowił w dwóch trzecich przekazać na fundację dobroczynną. Tego samego roku Lewis wydaje *Przedmowę do «Raju utraconego»*, książkę typowo naukową, która miała uratować nieco nadszarpnięty wizerunek Lewisa jako profesora literatury. W 1943 roku pisarz publikuje *Abolition of Man*, który krytykuje idee subiektywności wartości moralnych i estetycznych. Dwa lata później ukazuje się książka *Podział ostateczny*. Osia tej powieści jest podróż z Piekła przez

Czyściec do Nieba i towarzyszące temu problemy natury teologiczno-moralnej[20]. W roku 1946 Lewis otrzymuje honorowy doktorat z teologii Uniwersytetu Saint Andrews w Szkocji, a następnie w 1947 kończy Cudy. Wprowadzenie ogólne, które jest dziełem dosyć trudnym i sam autor wskutek listów od czytelników postanowił go później poprawić. W 1949 roku wydany zostaje zbiór esejów *filozofia pod tytułem Transpozycja i inne adresy*. Począwszy od 1950 roku, przez kolejnych siedem lat, rok po roku ukazują się kolejne tomy septologii *Opowieści z Narnii*. Chociaż zdania na jej temat są podzielone, to z pewnością nie można odmówić temu cyklowi chrześcijańskiego przesłania w prosty i obrazowy sposób, przypominający biblijne przypowieści, a na tym przede wszystkim autorowi zależało. W 1955 roku Lewis kończy książkę *Zaskoczony radością*. *Moje wczesne lata, autobiografia*, która opisuje jego młodość, aż do nawrócenia w 1931. Rok później wydaje *Dopóki mamy twarze*, była to, w jego mniemaniu, najlepsza powieść jaką napisał. W roku 1960 opublikował *Cztery miłości*, wnikliwą analizę miłości (agape), erosa, przyjaźni

(filia), oraz afekcji (storge). Do dzisiaj zachowały się nagrania, na których autor odczytuje fragmenty tego dzieła.

Miłość u kresu życia

Dość długo Lewis pozostawał kawalerem, bo dopiero mając 58 lat zdecydował się poślubić Joy Davidman, rozwódkę z USA. Swoją decyzją zaskoczył wszystkich, ponieważ raczej się tą znajomością nie afiszował wśród znajomych. Początkowa przyjaźń, z biegiem czasu przerodziła się w prawdziwe i mocne uczucie. Pierwotnie ślub miał uchronić Joy przed deportacją, więc w 1956 roku zawarli urzędowy związek małżeński. Ślub kościelny odbył się 21 marca 1957 roku przy łóżku szpitalnym pani Davidman, która była poważnie chora na nowotwór kości. Wkrótce jej stan mocno się poprawił, a choroba stanęła w miejscu, więc małżonkowie mogli udać się na wymarzoną podróż poślubną do Grecji. Niestety rak powrócił. Na przełomie lata i jesieni 1960 roku Joy odeszła. Była to jedna z najbardziej traumatycznych chwil w życiu Lewisa. Rok po tragedii wydaje swoją niezwykle osobistą i dramatyczną książkę *Smutek*[21].

[19] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 33-34

[20] Zob. Tamże, str. 35-38

[21] Zob. J.R. Willis SJ, *Radość. Teologia...*, str. 41-42.



Pomnik C.S. Lewisa w Belfaście, rodzinnym mieście pisarza (fot. Genvessel)

źródło: wikicommons

Nieco wcześniej, bo w 1958 roku Lewis pisze, prawdopodobnie mocno wspierany przez swoją żonę, Rozważania o psalmach. W lipcu 1963 roku stan zdrowia pisarza zaczyna mocno szwankować. 15 lipca zapada on w stan śpiączki, ale kilka godzin po udzieleniu mu namaszczenia chorych, odzyskuje świadomość i w sierpniu wraca do domu w Kilns. Pomimo poprawy zdrowia wie, że jego dni na tym świecie są już policzone, rezygnuje więc z wykładów i wspólnie z Walterem Hooperem (przyjacielem i sekretarzem) porządkuje swoje osobiste sprawy. Przez ten cały czas aktywnie spełnia się towarzysko. 22 listopada, parę dni przed jego 65. urodzinami, około godziny 17:30 Warren Lewis znajduje swojego brata na podłodze w pobliżu łóżka. Kilka minut później Clive Staples Lewis wyrusza w swoją ostatnią podróż, aby się spotkać z Tym, którego przez całe życie poszukiwał[22]. Po jego śmierci ukazują się jeszcze dwie jego pozycje Odrzucony obraz, zbiór wykładów z literatury średnio-wiecznej i renesansowej oraz Listy do Malcolma. O modlitwie, która jest niejako całokształtem jego zapatrywań duchowych.



[22] Zob. M. White, *C.S. Lewis. Chłopiec...*, str. 243.



źródło: unsplash.com

Zapomniana trylogia



Wojciech Gątek

W 1095 roku francuskie miasteczko Clermont było świadkiem niezwykłego wydarzenia. Ówczesny papież Urban II oraz uczestnicy synodu, w odpowiedzi na płynące z Bizancjum prośby, wezwali do zbrojnej wyprawy mającej odbić Jerozolimę z rąk Seldżuckich Turków. Wśród tłumów rozszedł się okrzyk „Deus Vult” – „Bóg tak chce”. Pierwsza krucjata stała się faktem.

Ta zbrojna akcja nadal wzbudza kontrowersje. Jedni widzą w niej pierwszy, romantyczny zryw kładący podwaliny pod późniejszy etos rycerski. Inni chcą ją uznać za krwawą wyprawę żądnych mordu katolików wymierzonych w pokojowo nastawionych muzułmanów. Dziś opinia powszechna, a co za tym idzie również kultura popularna, skłania się ku tej drugiej

wizji. Wysokobudżetowe filmy gromadzące przed ekranami dziesiątki tysięcy widzów, takie jak Królestwo niebieskie, skutecznie powielają negatywne mity narosłe wobec krucjat. Jednak powszechna krytyka wypraw krzyżowych jest za zwyczaj oparta na generalizacji, oderwaniu od geopolitycznego kontekstu oraz zwykłych przekłamaniach.

Gdyby jednak któraś z wielkich wytwórni filmowych zdecydowała pójść na przekór tym tendencjom, to wśród polskich książek znalazłaby publikację Zofii Kossak-Szczuckiej, a dokładnie napisaną w latach 30. XX wieku trylogię. Składają się na nią powieści Krzyżowcy, Król trędowaty oraz Bez oręża. Dlaczego na przekór? Bo w wizji polskiej pisarki krucjata nie

była ani wyprawą religijną fanatyków, ani pokojowym marszem nieskazitelnych rycerzy. Autorka próbowała opisać ruch krucjatowy w sposób jak najbardziej prawdziwy. Bo wyprawa krzyżowa była, jak sama określiła to w zakończeniu pierwszej części cyklu, „splątany kłębek cnoty i zbrodni, taranem krwawiącym, bluzgającym ropą grzechu – była straszliwym skrótem ogólnych dziejów ludzkości”.

Dobrzy, źli, brzydki

Popularny jest slogan: „nie ma ludzi bez wad, a świat nie jest czarno-biały”. To prawda, choć z perspektywy katolickiej precyzyjniejsze byłoby stwierdzenie, że każdy człowiek grzeszy, a jednocześnie jest powołany do świętości. Ludzie nie są idealni i zazwyczaj popełniają błędy. Między innymi z tego powodu współcześni odbiorcy pozytywnie oceniają filmy lub książki, których bohaterowie nie są odlanymi z brązu pomnikami, ale istotami z krwi i kości. Takimi samymi jak oni. Jednocześnie krytyczne odbiera się dzieła wybitnie czarno-białe, w których zło i dobro stanowią abstrakty, oderwane od rzeczywistości.

Pomimo tego, że Zofia Kosak-Szczucka stworzyła swoją trylogię w pierwszej połowie XX wieku, to nieobce było jej przed-

stawianie bohaterów w sposób „ludzki”. Nawet najszlachetniejszy z rycerzy nie jest bez skazy, a największy nędznik i łotr potrafi czynić dobro.

Gotfryd z Bouillon (przez pisarkę konsekwentnie nazywany Godfrydem), Rajmund z Tuluzy,

Boemund z Tarentu, Baldwin Trędowaty, Jan de Brienne. To tylko nieliczne przykłady postaci pojawiających się na kartach którejś z trzech powieści o wyprawach krzyżowych. Teoretycznie charakter każdego z nich można by streścić jednym zdaniem. Gotfryd jest po-



Godfryd z Bouillon

źródło: wikicommons



źródło: unsplash

bożny. Boemund przebiegły. Baldwin Trędowaty stara się być szlachetnym władcą, a jego siostra Sybilla dąży do własnej przyjemności. Jednak za każdą z tych postaci stoi bogata historia, a podejmowane przez nich czyny prawie nigdy nie są jednoznacznie.

Każda z głównych cech, w zależności od kontekstu, przyczyniała się do złych lub dobrych czynów postaci, a nawet największa cnota doprowadzona do przesady mogła stać się przekleństwem bohatera i jego

towarzyszy. Przykład: niemalże dewocyjna pobożność Gotfryda czyni z niego postać szlachetną, gotową do poświęceń w imię Boga, ale jednocześnie sprawia, że momentami nie dba o sprawy doczesne, czym czasami rani swoich bliskich i poddanych. Król Baldwin, choć z pozoru nieskazitelny, w głębi duszy pragnie uciec od obowiązków monarszych i straszego, przepełnionego bólem życia osoby trędowatej. Oczywiście trudno pałać miłością do myślącej tylko o sobie Sybilli lub knującego intrygi karierowicza księdza Ar-

nulda de Rohes. Niemniej jednak motywacje ich zachowania są wiarygodne. Nie chodzi tu bynajmniej o usprawiedliwienie złego zachowania, ale o nakreślenie spójnego portretu psychologicznego.

Dzięki temu czytelnikowi łatwiej utożsamić się z poszczególnymi pozytywnymi bohaterami, gdyż nie są oni jednowymiarowymi postaciami o papierowej psychice. Mają swoje słabe i silne strony, przemyślenia, motywacje i nadzieje. Tym samym w powieści pojawiają się postacie pełne życiowych paradoksów. Głównym wodzem I krucjaty zostaje biskup Ademar, który jest wobec tej idei mocno sceptyczny, ale ze względu na przyjaźń i zaufanie jakim darzy papieża Urbana II podejmuje się tej roli.

Poza tym wiele postaci „ewoluuje” wraz z rozwojem akcji. Walter bez Mienia, po przeżytej w pewnym momencie tragedii, ze zwykłego rębajły starającego się zdobyć bogactwo i zaszczyty zmienia się w wiernego, służącego Bożej sprawie strażnika biskupa Ademara. Piotr z Amiens przeżywa perypetie podziwianego przez wszystkich kaznodziei, by następnie stoczyć się w odmęty szaleństwa i strachu. Trubadur Wilhelm Divini porzuca rolę sła-



źródło: fot. Dennis Jarvis

wiącego miłość cielesną pieśniarza na rzecz bycia towarzyszem świętego Franciszka. Żadna z postaci nie pozostaje obojętna wobec licznych doświadczeń i przeżyć, które stają na jej drodze.

Wojna światów

Krzyżowcy to typowa powieść drogi. Bohaterowie przemierzając świat poznają nowych ludzi z różnych kręgów kulturowych, cywilizacyjnych i religijnych. Również Król trędowaty oraz Bez oręża zawierają w sobie liczne obrazy różnych kultur. I choć autorka opowiada historię głównie z perspektywy śląskich rycerzy i utożsamia się z katolicyzmem, to nie idealizuje żadnej z nich. Mało tego. Zo-

fia Kossak-Szczucka nie boi się pokazywać zalet i wad żadnej z opisywanych grup społecznych i religijnych, niezależnie od tego, czy chodzi o bogaty Konstantynopol czy na wpół pogańską Polskę.

W powieściach mamy przedstawione cztery główne kręgi kulturowo-religijne: świeżo ochrzczonych Polaków, katolicką zachodnią Europę, prawosławne Bizancjum oraz muzułmański Bliski Wschód. Wręcz przeciwnie. Zofia Kossak-Szczucka nie boi się pokazywać zalet i wad każdego z tych kręgów. Muzułmanie nie są tu wcielonymi diabłami, a krzyżowcy zesłanymi z nieba aniołami. Co prawda pisarka krytycznie odnosi się do teologii Islamu,

ale na płaszczyźnie ludzkiej każdy z wyznawców Mahometa rozpatrywany jest jako człowiek: mąż, syn, zdrajca, bohater.

Autorka wiarygodnie pokazuje zderzenie różnych cywilizacji, które różnią się niemal wszystkim: od religii na ubiorze kończąc. Zrozumiała jest niechęć zachodniego rycerstwa do przesadnej wygody i niemoralności mieszkańców Konstantynopola. Jednocześnie słuszna jest krytyka pewnego rodzaju prostactwa krzyżowców ze strony basileusa i jego dworu. Wodzowie krucjaty szanują Saracenów za ich heroizm i odwagę, lecz lękają się gołębi pocztowych uznając je za magię. Wzajemna niechęć i brak zrozumienia jest fundamentem późniejszych sporów, ale także komicznych sytuacji. Symboliczna jest tu wypowiedź jednego z wodzów krucjaty dotycząca greckich uczonych, którzy, według niego, ciągle siedzą nad księgami z powodu olbrzymich problemów z zapamiętywaniem nawet najprostszyc modlitw.

Zofia Kossak-Szczucka ukazuje także różnice w sposobie myślenia pomiędzy poszczególnymi grupami społecznymi: poczawszy od królów i książąt na chłopach i mieszczanach kończąc. Pojawiają się również kwestie polityczne. Widać to



źródło: unsplash.com

szczególnie w Królu trędowatym w postaci sporu między środowiskiem króla, które stara się jak najdłużej utrzymać pokój w Ziemi Świętej a mistrzami zakonnymi i nowo przybyłymi do Lewantu, pragnącymi wszystkie spory rozstrzygać ostrzem miecza. Ta różnica poglądów miała ostatecznie przyczynić się do późniejszego obrania Gwidona (Wita) de Lusignan na króla, bitwy pod Hittin i upadku królestwa Jerozolimy. Ale w Bez oręża pojawiają się również wątki instrumentalnego wykorzystania

tragedii krucjaty dziecięcej dla zdobycia monopolu handlowego przez jedno z włoskich miast oraz uporu kardynała Pelagiusza chcącego za wszelką cenę podbić cały Egipt.

Wojna i pokój

Przy tej okazji warto zwrócić uwagę na to, że cała trylogia to nie tylko zwykła beletrystyka, ale również pewnego rodzaju zbiór rozważań i przemyśleń na tematy teologiczne i filozoficzne. Autorka wielokrotnie

odwołuje się do nauki Kościoła Katolickiego, czy to za pośrednictwem swoich bohaterów, czy też w osobie narratora. Czytając powieść można dowiedzieć się wiele na temat symboliki i historii znaku krzyża, dostrzec naukę o nieuniknionych konsekwencjach najmniejszych grzechów uczynkowych lub zaniedbań, a także zrozumieć istotę ofiary Chrystusa dającej grzesznikowi życie wieczne. Istotne jest również to, że Zofia Kossak-Szczucka przedstawiając treści religijne nie popada w banalne moralizatorstwo, ale subtelnie wplata te wątki w swoje powieści. Nawet cuda, które dokonują się na oczach krzyżowców, nie są ukazane w sposób tandetny i banalny.

Ponadto, poszczególne powieści pokazują także pewnego rodzaju ewolucję myślenia o relacjach z poganami oraz innowiercami. Krzyżowcy zbudowani są na opozycji chrześcijaństwa i islamu, przed którym jedyną obroną jest zbrojna wyprawa. Król trędowaty pokazuje, że dla zapewnienia pokojowej koegzystencji katolików i muzułmanów należy traktować przeciwnika politycznego jako równego sobie, a dążenie do starcia za wszelką cenę może przynieść więcej szkody, niż pożytku. Natomiast w Bez oręża widoczna jest już postawa poko-

jowej walki o panowanie Chrystusa na ziemi, zogniskowana przede wszystkim w osobie św. Franciszka.

Nie oznacza to bynajmniej krytyki działań zbrojnych, o ile te spełniają warunki wojny sprawiedliwej. Autorka podkreśla jednak, że mogą być one jedynie ostatecznością, w przypadku, gdy pozostałe metody zawiodą. We wszystkich innych sytuacjach należy dążyć do rozwiązywania sporów w sposób pokojowy. Bo, tak jak mówi św. Franciszek do kardynała Pelagiusza, każdy z muzułmanów może zostać przez Boga oświecony i nawrócić się na wiarę chrześcijańską. Ideałem wyprawy krzyżowej jest krucjata modlitwy i miłosierdzia, prowadzona bez oręża, której najwyższym wodzem jest Jezus Chrystus.

Autorka wielokrotnie podkreśla godność człowieka jako istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boga. I niemal w każdym z bohaterów dopatruje się dziecięcia Bożego gotowego odnaleźć drogę do Ojca. Nie ma znaczenia, czy ktoś jest biedny czy bogaty, inteligentny czy głupi, odważny czy tchórzliwy. Każdy zasługuje na szacunek, a częstokroć pogardzany przez rycerza prostaczek potrafi zawstydić pewnego swojej świętości człowieka.

Szkiełko i oko

Czytając całą trylogię, nie można jednak zapomnieć, że nie jest to ani podręcznik do historii ani książka popularnonaukowa, lecz powieść historyczna. Tylko i aż. Pomimo sięgnięcia do materiałów źródłowych i opracowań naukowych autorce zdarzyło się kilka większych i mniejszych wpadek. Największą bolączką trylogii jest niedokładne odzwierciedlenie dat poszczególnych wydarzeń, widoczne zwłaszcza w Królu trędowatym. Z tego powodu ślub Sybilli z Gwidonem de Lusignan jest jednym z ostatnich wydarzeń w życiu króla Baldwina IV, choć w rzeczywistości jeszcze przez wiele lat próbował rozwiązać to małżeństwo. Innym problemem jest nieprawidłowe, z punktu widzenia dzisiejszej wiedzy historycznej, przedstawianie kultury materialnej tamtych czasów. Autorka kreśli nam obraz krzyżowców paradujących w zbrojach płytowych oraz przyłbicach, które weszły do użytku ok. 300 lat później. Trudno też jednoznacznie określić, na ile trafne okazało się odzwierciedlenie charakteru postaci historycznych.

Czy jednak te niedoskonałości, czasem będące klasycznym przykładem „licentia poetica” burzą ład w opowiadanej hi-

storii lub stanowią jakieś poważne przekłamanie? Wątpliwe. Akcja powieści jest zwarta, bohaterowie wyraziści a świat wiarygodny. Zwłaszcza, że autorka pokazuje jak wiele elementów kryje się pod pojęciem „krucjaty”, o czym współczesna kultura zdaje się zapominać. Dokładnie wskazuje zróżnicowane motywacje uczestników wypraw krzyżowych: szlachetny poryw serca, chęć zdobycia majątku, pragnienie zabezpieczenia chrześcijańskiej Europy przed kolejnymi atakami ze strony ekspansywnych Arabów i Turków. Brutalne niekiedy zachowania krzyżowców są tu pokazywane w sposób bezpośredni, ale przy całym tym barbarzyństwie jest w tych wojownikach coś szlachetnego. Coś, co dworzanie w Konstantynopolu słusznie porównywali do heroizmu homeryckich herosów. Zofia Kossak-Szczucka w swoich powieściach nie osądza postaci, lecz ich zachowania. Pomimo upływu lat powieści wciąż tchną pewnego rodzaju świeżością oraz pokazują, że choć świat się zmienia, to praktycznie cały czas jest taki sam. I tak samo dziś, jak i tysiąc lat temu, jak to na kartach powieści powiedziała Ida z Montferrand, „czasami jest tak, że człowiekowi trudno pozostać człowiekiem”.

